Nr. 11. Kraków, listopad 1907. Rok VIII.



:: PISMO DLA KOBIET ::

wychodzi w połowie każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi:

rocznie . . kor. 1·50 | zagranicą . marek 1·50
półrocznie „ 0·80 | pojedynczy numer 15 gr.

W państwie rosyjskiem:

Rocznie 1 rubel. | Półrocznie 50 kopiejek.

ADRES REDAKCYI: SZPITALNA 7, II P.

29 LISTOPADA.

„Kajdany pękły, niewoli męki
Są już u kresu praojców miecz
Nie ciężki wcale dla naszej ręki
Tyrany precz! Najeźdźcy precz!

Patrzcie się ludy, jak lackie syny
Walczą za świętą ojczyznę swą —
Północy tyran drży trwogą siny
Z nim razem wszystkie tyrany drżą!

Patrzcie się na tę krainę laszą,
Na męstwo młodzi, na niewiast kir —
Walczym za naszą wolność i waszą,
Za wspólne szczęście, za wspólny mir.

Choć nam od męki osłabło ciało,
Choć przepotężny wolności wróg,
Na krwawą walkę idziemy śmiało,
Bo z nami prawo, bo z nami Bóg!“

Poszli — nie próżną była ich mowa —
Na ich wspomnienie wróg jeszcze drży.
Zna świat Belweder, pola Grochowa,
Dębu i Wawru, zna świat i czci!

Ulegli walcząc z nadludzką siłą —
Polskę okuto w kajdany znów —
Tysiące nowych mogił przybyło,
Tysiące sierót, tysiące wdów...

Dla zwyciężonych świat nie zna łaski,
Odsunął od nas przyjaźni dłoń,
Ci, co nam przedtem bili oklaski,
Dziś wieńczą naszych oprawców skroń.

Dziś bez współczucia cierpimy mękę,
Jak się zmienią ludzie i czas —
Dawni druhowie dziś liżą rękę,
Która ich chłoszcze chłostając nas.

Lecz choć przyjaciół dziś nam nie stało,
Choć przepotężny jak dawniej wróg —
Gdy przyjdzie chwila, w bój pójdziem śmiało,
Bo z nami prawo! Bo z nami Bóg!

Bolesław Czerwieński.

BITWA POD STOCZKIEM.

Generał Józef Dwernicki, dowiedziawszy się, że wódz rossyjski Geismar stoi w okolicy Stoczka na czele licznego i dobrze uzbrojonego korpusu, przeprawił się przez Wisłę i mimo nierównych sił postanowił stoczyć walkę.

Dnia 13. lutego wydał do swoich wojsk taką odezwę:

Żołnierze! Znana mi jest wasza niecierpliwość z jaką oczekujecie mierzenia się z nieprzyjacielem. Uspokujcie się. Jutro zaprowadzę was do boju. Rozprawa będzie gorąca, bo nieprzyjaciel, którego dościgniemy, ma siłę co do liczby nierównie od naszej silniejszą i wojsko z wojną obeznane. Ale tem lepiej. Chwalebniejsze będzie nasze zwycięstwo i da wam sposobność okazania, że jesteście Polski synami. Niech żyje Polska!

Po przeczytaniu tego rozkazu odezwały się w szeregach jednogłośne okrzyki:

„Choćby ich było kilku na jednego — pobijemy, a będziemy rachować tylko trupy i niewolniki!“

O świcie dnia 14. lutego wyruszyła przednia straż pod komendą Chmielowskiego i niedaleko Stoczka zabrała placówkę nieprzyjacielską, złożoną z 80 kozaków. Jeden tylko człowiek umknąć z niej z dołał. Ten czczęśliwy początek zapalił jeszcze więcej ducha w wojsku polskiem.

Od jeńców dowiedział się Dwernicki, że ma przed sobą wyborową armię rossyjską, kawalerye na dzielnych koniach, wojsko wyprawione w wojnie tureckiej. — On zaś, miał bądź żołnierzy dymissionowanych, bądź młodych ochotników, co jeszcze nie wąchali prochu. Mimo to nie zawahał się.

Wiedząc, że takie wojsko tylko zapałem zwyciężyć może, przemówił prędko, gorąco, wezwał do boju w imę Boga i Ojczyzny. Przedstawił swoim żołnierzom, jaki to zaszczyt zwyciężyć tyle liczniejszego i doświadczonego żołnierza i ruszył pod Stoczek.

Kilka sotni Kozaków, które tu stały, umknęły.

I ten fakt wydał się naszym, dobrym znakiem. Przeszli przez Stoczek i w dolinie pod miasteczkiem stanęli dla odpoczynku.

W tem nadbiegli wieśniacy, donosząc, że Moskale pokazują się od Toczysk, że z drugiej strony od Żeroncina nadciągają także zastępy nieprzyjacielskie.

W namiocie korpus Dwernickiego stanął gotowy do boju.

Gdy nasi postąpili naprzód, ujrzeli jedną kolumnę, wyłamującą się z lasu od Zerocina, która stanęła na wzniosłym wzgórzu w odległości strzału działowego. Druga kolumna, idąc od Toczysk, doszedłszy także do odległości strzałów armatnich, również stanęła.

Było to o godzinie 9-tej rano,

Dwernicki sprawił swe szeregi. Przy sobie ostawił sławnych Krakusów Kościuszki,

Moskale dali pierwsi ognia. Generał Gejsner chciał z dwóch stron oskrzydlić Dwernikiego, ale plan ten się nie powiódł. Dwernicki obydwom kolumnom stawił czoło.

Sześć szwadronów dragonów moskiewskich uderzyło z dwóch stron. Byli to ludzie olbrzymiego wzrostu, siedzący na dzielnych ogromnych koniach. Między nimi widać prawie nie było polskiej konnicy, źle odzianej, siedziących na małych koniach. Ale lekko ubrani, zwijali się dzielnie i tak kłuli olbrzymów, że ci w końcu mimo mężnej obrony cofnąć się musieli.

Ostatecznie szalę zwycięzstwa na polską stronę przychylił kapitan Lewiński, który z ułanami 2-go pułku wpadł niespodzianie z boku, niosąc popłoch i śmierć w szeregi nieprzyjacielskie, czem zmusił je do odwrotu.

Uciekające w popłochu, wojsko spychało sią same z grobli, a nasi korzystajac z tego, zabrali nieprzyjacielowi pięć armat z całym zaprzęgiem i amunicyą.

Gdy się to dzieje z jednej strony — z drugiej, od Toczysk, nieprzyjaciel puścił mocny ogień na artyleryę i na piechotę. Od strzałów tych padł lekarz i kilku żołnierzy, ale batalion stał nieporuszony, śpiewając wesoło: „Jeszcze Polska nie zginęła!“

I tak stojąc naprzeciw siebie nieruchomo dwa wojska, jedni prażąc ogniem, działowym, drudzy śpiewając pieśń.

Wtedy Dwernicki sprawił z błyskawiczną szybkością swoją kolumnę i napadł z takim impetem, że nieprzyjaciel nie miał czasu do rozwinięcia swojej kolumny; po krótkiej, ale zaciętej i gwałtownej bitwie, zmusił i tę kolumnę nieprzyjacielską do odwrotu. Wpę-

dzono kawaleryę rossyjską w las, jeden szwadron wycięto do nogi i zabrano dużo jeńców do niewoli.

Zwycięztwo było świetne i zupełne.

Rossyanie stracili 100 jeńców, 180 zabitych, 246 koni i 11 armat z amunicyą. Nasi mieli 27 zabitych i 60 rannych.

Potyczka pod Stoczkiem wykazała, że odwaga zapał, gorąca miłość Ojczyzny może pokonać i znaczne przemagające siły nieprzyjacielskie.

DZWONY.

Warszawo!...

Zbudziłaś kraj okrzykiem „do broni“, prowadziłaś do walki za wolność naród i straszne stopy najeźdźców strąciła z swej piersi?...

Czemże walczyć będziesz?... Zkąd dostaniesz broni? Gdzie armia ta, która zdoła pokonać olbrzyma?...

Noc Belwederska przeszła... Minął grudzień, pełen oczekiwania, przygotowań, uniesień.

A teraz?...

Zima, śnieg... cisza...

Drogą do Warszawy toczy się wóz jeden, drugi, trzeci... Obok wozów lud idzie jakby na pogrzebie. Nie jedno oko łza zajdzie...

— Co wieziecie? — pyta Warszawa zdumiona, patrząc na ów pochód załośny...

— Dzwony z naszej parafii.. na ofiarę dajemy, na to, aby stopić i przelać na armaty.

I nieme, głuche już teraz dzwony zdjęte z wierzycy ubogiego kościółka stoją na bruku kamiennym, jak burzą zerwane i na dół rzucone szczyty drzew wyniosłych... Gdzież serca ich? Nie ozwią się nigdy ni jękiem skargi lub modłów brzmieniem?...

Serca lud złożył w skarbczyku kościelnym, a kiedyś, gdy nowe dzwony sprawi, tym sercom na nowo brzmieć rozkaże, aby tą samą pieśnią, wołania do walki za wolność, przemawiać umiały...

— Dzwony przywieźli!... — ten i ów szepce spotkawszy przyjaciela lub znajomego — a my co damy?...

Takie pytanie rzucił koledze młody rzemieślnik, który przed chwilą na zdejmowane dzwony patrzał i szukał myślą tej wioski dalekiej, co tak bez dzwonów zostanie smutna jak dziecko bez piersi matki.

— Co my damy? — powtarza z naciskiem jeszcze raz... a Stefan na to:

— Oto patrz!... Mam pieniądze, składane długo, za tydzień mój ślub, te były na weselę, ale wesela nie zrobię, niech idą pieniądze na obronę Ojczyzny... co mam — daję.

I poszedł do swej sierotki Zosi i opowiada jej o dzwonach na ofiarę danych.

— Dajmyż i my wesele nasze — kiedy żołnierzom broni braknie, kiedy wróg naprzeciw tyle paszcz armatnich stawia, kiedy nas jeszcze tak mało, więc oto weźmiemy ślub, a potem — ja pojadę...

Ofiara rzemieślnika Stefana została wykonaną, a wieść o niej wraz z wieścią o przywiezionych dzwonach szła od domu do domu, od rodziny do rodziny i jak dzwon wzywała na służbę dla Ojczyzny.

Stary lokaj, Stanisław Zarembski, opiekunem był sieroty Zosi. Z początku żalił się, iż wesela nie będzie, bo tyle radości sierocie, co bodaj na weselu muzyka jej zagra... ale, gdy mu powiedziano, czego potrzeba Ojczyźnie.. przyniósł długo zbierane przez oszczędność pieniądze swoje w kwocie 70 złp., a następnie, w każdej wolnej chwili od służby, szedł do sypania okopów i pracował, choć już sił wiele nie miał.

Dzwony nieme stały...

Ani razu nie poruszyły fali powietrza swoim drgnięciem, ani razu nie ozwały się wołaniem na pacierze, bo serc nie miały...

Jednak, mówiły ciągle i wołały...

Taka jest moc ofiary, iż czem cichsza jest, tem silniej woła i wzywa.

W parę dni znowu jadą wozy z wioski blizkiej i wiozą dzwony, a lud je odprowadza z pieśnią, żalem i tęsknotą.

— Idźcie, dzwony nasze, idźcie nasze grania dźwięczne i miłe, idźcie nasze piastuny dobre i kochane. Gdy kto we wsi oczy zamknie na wieki, już go nie pożegnają swoim graniem... pójdzie spać do cichej mogiły i ziemia go otuli, a was nie dosłyszy więcej nigdy — nigdy!... Idźcie dzwony nasze.. gdy niedzielny ranek zaświta, nie posłucha waszej pieśni dziatek drobnych gromadka, a więc pytać zacznie — czemu nie grają nam dzwony, co to sercem biją i głos niosą daleki?...

— Nic to!... Powiemy dzieciom, że nasze dzwony inną teraz pieśń grają, smutną, straszną, jak grom bijącą pieśń niosą na polach bitw... a od tej pieśni niewola skona i wolność żyć pocznie...

— Idźcie dzwony nasze... piastuny wioski — idźcie!...

Za wozem z dzwonami wlecze się Wrześniak ze wsi dalszej. Ubogi włościanin wiezie na Krakowskie Przedmieście furę drzewa. Sprzeda ją.. Grosza mu trzeba, a nie wielkie ma zbiory.

— Co to wiezą?... Juści dzwony. Mróz go przejmuje i w oczach mu ciemnieje. Dzwony ze wsi zabrać?... Dzwony zdjąć z dzwonicy, serca im zabrać, jakież to smutne... Żołnierze nasi poszli, niejeden dzieci drobne zostawił, za niejednym matka lub żona płacze... niejednego dziatki kawałka chleba nie mają. Jak te dzwony wołają, jak wabią, jak proszą „dla Ojczyzny! dla Ojczyzny!"

I Wrześniak na Krakowskiem Przedmieściu staje, za drzewo otrzymane pieniądze w kwocie 8 złp. zabiera, ażeby oddać na „wojnę za wolność!"

Dzwonów coraz więcej.

Zdjęte z wysokich wież lub dzwonic wioskowych, stają w Warszawie jak korne bryły metalu. Bo i czemże więcej one teraz są, jeśli nie metalu wagą?.. Znikną!... W płomieniach ognia zleją się w falę spiżu i potem uformują szpetną, straszną, piekielną paszczę armaty... Śmierci w służbę pójdą... Mord i śmierć nieść będą... Nie szkodaż to was dzwony poświęcane, dzwony kościelne, wiosek piastuny, muzyki serc arfu?...

Lecz dzwony te wołają. Dzwonią choć nieme są... Od nich płynie jakaś fala niewidzialnej, niepojętej siły, która stwarza ofiar coraz więcej i z ludzkich serc czyni dzwony — wielkie dzwony, święte dzwony...

Na sali sesyonalnej Komisyi rządu wojny, dnia 14 stycznia wchodzi młodzieniec nieznany. Godzina wieczorna. Jenerał Krasiński, zastępca ministra, patrzy nań z zaciekawieniem.

Młodzian podaje paczkę.

— Oto niosę skromną ofiarę na ołtarz Ojczyzny, proszę aby była uważana jako od bezimienego...

Skłonił się i wyszedł.

Na drugi dzień był w muudurze Gwardyi narodowej.

Zaś jenerał Krasiński z paczki tej wyjął 100.000 złp.

Ktoż powiedział, że dzwony z wieżyc zdjęte nie dzwonią już?...

Cóż się stało w Ojczyźnie, iż tyle serc wielkich bić w niej poczęło i tyle pieśni szlachetnych wydzwaniają nam karty wspomnień i dziś?...

Oto jenerał brygady Józef Dwernicki wyznacza na cały czas trwania kampanii po 400 złp. dla p. akademików, którzy zechcą pójść do walki, a potrzebują na mundur lub broń. Nadto zobowiązał swe dziedzi aby na wypadek jego śmierci wypłacały tę kwotę. Zaś hrabina Mazowiecka, własną ręką haftuje dla gwardyi narodowej chorągiew, a posyłając ją pisze: „Nie posiadając dóbr w Królestwie Polskiem, a przeto nie mając teraz żadnych dochodów, ofiaruję srebra stołowe na składkę dla zacnej młodzieży akademickiej, która spieszy do obrony Ojczyzny. Upraszam, aby moja ofiara była szczególniej użytą na sprawienie płaszczów jak najcieplejszych„.

Tak z wszech stron szły datki... takie to były dnie podniosłych uczuć, o jakich ludzie z wystygłem sercem nie wiedzą i nie wspominają.

Dnia 16 stycznia, przyprowadza do Warszawy ubogi wieśniak konika swego... Spotkawszy „obywatela z 7-mego cyrkułu Warszawy" (jak pisze Gazeta Warszawska w numerze 16) pyta go:

— Gdzie tu się oddaje składki na Ojczyznę?...

Wiedzie go „obywatel" Warszawy i pyta po co konia prowadzi?

— Tego konia chcę oddać, odrzeknie wieśniak, przyda się może dla jakiego żołnierza, a nic innego na ofiarę nie mam.

Obojętny dotychczas „obywatel" rozrzewnia się. Poczyna w nim bić serce. Jak często, gdy ozwie się jeden dzwon graniem, odpowiadają mu wtórem inne dzwony, jak gdyby w lesie rozkwitnie kilka pierwszych dzwonków, w ślad za niemi rozwija się dzwonków tyle, iż kobierzec lasu jaśnieje od ich barw, tak i w narodzie, gdy kilka serc wielkich uderzy, budzą się serca wszystkie, a wtedy historya zapisuje takie daty jak rok 1831 i nocy Belwederskiej.

Zbudzone serce „obywatela" zmienia człowieka.

— Weźcie ojcze konia, mówi pan z 7-go cyrkułu... ja za was złożę tyle pieniędzy do kasy narodowej, ile wasz koń wart być może...

— Dałem za niego 80 złp. — odrzeknie wieśniak z parafi Niegowskiej — za tyle go oddam.

Obywatel składa kwotę 80 złp. u rządu narodowego i mówi do poczciwego wieśniaka:

— Koń twój należy do ciebie — wracaj na nim do wioski...

Lecz nie wraca...

Stoi na drugi dzień wraz z swoim panem,

na tej drodze, którą ma jechać 1-szy pułk Mazurów.

Włościanin z parafii Niegowskiej wstąpił do pułku...

Tego samego dnia. na czele 2 powstańców przybył „z prowincyi do Warszawy Ojciec Bernardyn, uzbrojony i mający godła narodowe. Lud serdecznie witał i Kapłana i obrońcę“.

Zaś w parę dni, jedenastu kleryków od Bernardynów w Warszawie poszło do powstania.

Dzwonów coraz więcej i już rozpocznie się praca przetapiania ich. Do kościołów nie woła nikt na Mszę ranną, ale płynie ogromna pieśń po ziemi naszej i serc tysiące od niej budzi się — ożywia.. w bohaterstwo rośnie.

Siedmioletni syn hr. Sołtyka Romana, który popierał pensyą miesięczną po 10 złp. prosi, aby mu dano pensyę za lat 10 z góry. Wszystkie pieniądze oddaje na to, aby wyprawić jeźdźca do powstania.

Z Krakowa donoszą, iż ze Śląska górnego przybyło tam 6 kobiet z prośbą, aby je wpisano do „polskich amazonek“.

Córka obywatela Warszawy zwraca swe słowo dane narzeczonemu i pierścionek zaręczynowy niesie na składkę kwestarzom.

— Jakto?... Dziwujecie się koleżanki, iż tak zrobiłam? Ojczyzna woła, a on nie idzie jej w służbę... takiego męża mieć nie chcę.

Dwanaście dzwonów już stopiono... Lecz liczba złożonych w ofierze nie zmniejsza się, ale rośnie...

Co to? bal w Warszawie?... W takim roku ofiary, walki, męczeństw?... fałszywy ton wieści niemiłej porusza szeregi...

Jedni wierzą w to i rzucają kamieniem potępienia. Inni nie wierzą, lecz trwożą się, czyli to nie prawda.

— Bal!.. Bal w resursie, patrzcie... ogłoszenia, zaproszenia!...

Karasiński, lekarz z pułków formujących się w województwie Płockiem i Augustowskiem, dowiedziawszy się o balu, pełen oburzenia wybiera się...

— Pójdę! powiada do towarzyszów... i zmącę im tony muzyki balowej, pójdę i zgaszę tych świateł blaski, pójdę i rozbawionym a strojnym damom rzucę w oczy kajdan żelazem...

Warszawo!... Zbudziłaś kraj okrzykiem „do broni“, a teraz bal?...

W salach resursy światła płoną... powozy zajeżdżają... rojno już jest... ileż osób! ile ludzi...

Krasiński wchodzi... sale od świateł płoną — tłumno wszędzie — lecz cicho...

— Co to? Bal?... Panie siedzą w skromnych sukniach dokoła wielkich stołów i skubią szarpie dla rannych...

Opłacono wstęp na dochód żołnierzy. Zamiast sukien balowych skupywano broń... zamiast muzyki opłacono mundury.

Tak Warszawa umiała żyć w dniach wielkich i taką pieśnią ofiar dzwoniło jej serce, wtedy, kiedy lud z wiosek niósł dzwony na składkę dla Ojczyzny i kiedy serc tysiące żyło nie dla niej, ale dla — wolności...

Warszawo!... Za takich wspomnień błyski, cześć tobie!

Jadwiga z Łobzowa.

W rocznicę powstania listopadowego.

Czy pamiętasz? Noc była głęboka,
Gdy zastęp dzielnej, walecznej młodzieży
Wtargnął szczęśliwie do jaskini smoka,
Mimo krat, zamków, strasznych ościeży?...

Czy pamiętacie, jak najeźdźca srogi,
Kat ludu, wojska, własnych „gaficerów“,
Zmykał sromotnie, o zalały z trwogi
Przed pół-dziecięcych garstką bohaterów?

Czy pamiętacie, jak z całej Warszawy
Lud broń pochwycił w spracowane dłonie
I kto żyw jeno, w bój wyruszył krwawy
Ku matki-Polski chwale i obronie!...

O, Młodzi Polska! Drugiej takiej chwili
Nie znajdziesz w dziejach narodu swojego,
Więc czoło twoje z czcią niech się uchyli,
Przed bohaterów pamięcią dnia tego!

Ich czyny niech wam będą drogowskazem
W młodzieńczych latach i dojrzałej pracy,
Od Nich się uczcie, jak nie czczym wyrazem,
Lecz życiem stwierdzać swem, żeście Polacy!

Jak moc swą krzepić i pomnażać skrycie,
Milcząc do czasu, choć w piersi żar płonie, —
Jak siły wszystkie, mienie, krew i życie,
Oddać ochoczo w Ojczyzny obronie!...

Od Nich się uczcie! Wszak bohaterami
Ich uczyniła jedna noc jesienna!...
Do czynu Młodzi, Świat cały przed Wami,
Wolność i sława i przyszłość promienna!

Walerya Szalay.

O WYCHOWANIU.

Dziecko ciekawe. Ciekawość jest nader cenną zaletą dzieci. Ona to budzi w nich żądzę poznawania rzeczy nieznanych, ona umysł jegu utrzymaje w ciągłej ruchliwości i pcha go nieustannie po drodze postępu — słowem ciekawość jest główną sprężyną umysłowej pracy dziecka.

Rozumni rodzice powinni tę ciekawość dzieci, objawiającą się w nieustannych pytaniach, zaspakajać odpowiedziami stosownemi do ich wieku, cierpliwie i łagodnie zwracać uwagę dzieci na rzeczy dobre, szlachetne, umiłowania godne.

Kogo męczą pytania dzieci ustawiczne i często się powtarzające, kto mrukliwie i niechętnie na nie odpowiada: Idź, nie nudź mię, nie potrzebujesz tego wiedzieć, i t. p., ten oczywiście nie posiada zdolności wychowania tych istot, którym dał życie. Dać życie cielesne potomstwu potrafi każde zwierzę. lecz duszę dziecięcia powołać do życia przez rozbudzenie myśli, skierowanie woli ku dobremu — ten szlachetny i trudny obowiązek każdy ojciec i matka spełnić powinni bezwarunkowo.

Jeżeli ciekawość dzieci nigdy nie zostanie nasyconą w sposób właściwy, jeżeli rodzice zajęci ciężką pracą i skutkiem tejże od dziecka odłączeni, albo przez grzeszne niedbalstwo i obojętność nie zadają sobie trudu, żeby dziecko pouczyć, wtedy owa chęć poznania rzeczy nieznanych przenosi się na rzeczy mniej stosowne i często dla dzieci niedobre, n. p. słuchanie rozmów starszych, bezmyślne gapiostwo, ciekawe oglądanie cudzych rzeczy, powtarzanie usłyszanych plotek. Nieraz z tego powstają kłótnie i intrygi, do których bywają wmieszane dzieci i tym sposobem młodociane dusze zostają skażone zepsuciem i przewrotnością, zanim jeszcze poznały wartość cnoty.

Tak więc ciekawość, przymiot bardzo cenny i miły, staje się nader niebezpieczną, jeżeli nie zostanie użytą na dobre. Podobnie się dzieje np. z nożem, narzędziem, które w ręku małego dziecka może się stać zabójczem.

Przeto wielka wartość ma w wychowaniu dzieci owa nieustająca czujność rodziców, która zawsze dziecko utrzymuje we właściwych granicach, zawsze mu wyznaczy stosowną pracę lub zabawę, zawsze mu da jakieś zajęcie miłe i pożyteczne. Jeżeli gość przyjdzie do domu, dziecko dobrze wychowane nie wysuwa się z niestósownymi pytaniami, ani nie przerywa rozmowy starszych, lecz spokojnie i skromnie oddaje się swym zwykłym zajęciom.

Ciekawość podobno szczególniejszą jest właściwością kobiety, może dlatego, że umysł jej ruchliwszy i żywsza wrażliwość na rzeczy zewnętrzne. Więc też rozsądna matka nie podsyca ciekawości i gadulstwa dziewczynki, plotkarskiemi rozmownmi o sąsiadach, o znajomych, co mówili, jak się ubierają, co jedzą itd., lecz każe jej opowiedzieć czego w szkole się uczyła, co nauczyciel mówił, powtórzyć przeczytaną powiastkę, lub zaśpiewać wspólnie z rodzeństwem. Czytanie głośne w rodzinie znakomitym jest właśnie środkiem rozbudzenia ciekawości dzieci i zwrócenia jej na rzeczy poważniejsze, niż plotki. Śmiało powiedzieć można, że dzieci, które lubią czytać, wolne są od wielu wad i rażących nałogów dzieci zaniedbanych.

DZIECI I KWIATY.

Dzieci i kwiaty rzecz znana od wieka
Tworzą ze sobą podobieństwa związ k,
Kwiat — to przyszłego owocu zawiązek,
Dziecko — zawiązek przyszłego człowieka.

Owoc dojrzały smaczny i pożywny,
Lecz mu się wdziękiem nie równać z kwiatami;
Wiek męski może zasłynąć czynami
Ale dzieciństwo otacza czar dziwny.

I tak bywało i bywa na świecie,
Że kwiaty pachną, a dziecię się wdzięczy,
A wdzięk się mieni promieniami tęczy
I śle woń kwiatu, jako barwne kwiecie.

Kwiat jest dziecięciem, a kwiatem jest dziecię;
Jedno i drugie kochają się wzajem
I cała ziemia stałaby się rajem,
Gdyby pokryły ją dziatki i kwiecie.

MOWA OJCZYSTA.

Cóż milej dźwięczy nam na tym świecie
Niż nasza droga ojczysta mowa,
Co tam rozbrzmiewa po siołach w lecie
W szacie wesołej pieśni lub słowa.

Co tak serd cznie, wieczór i z rana
Z ust drobnych dzieci, troskliwych matek,
Przed tron niebieski, do Stwórcy Pana,
Płynie z pałaców i wiejskich chatek?

RADY LEKARSKIE.

Jak się odżywiać, aby najdłużej zachować siły? Przyprawy korzenne: pieprz, papryka, angielskie ziele, imbier, gałka muszkatułowa i kwiat muszkatułowy, goździki, cynamon, wanilia, szafran, anyż, baldryan, koper, kminek, czarnuszka, cebula, czosnek, chrzan, selery, musztarda, ocet — w znaczniejszych ilościach są szkodliwe: w małych ilościach działają korzystnie, urozmaicają bowiem smak i zapach potraw, czyniąc je apetyczniejszemi, i drażnią narządy trawienia: przyspieszają zatem przemianę pokarmów i działają podniecająco na system nerwowy. Potrawy powinny być przygotowane z dobrych, świeżych, niepodrabianych produktów. Ponieważ sposoby badania dobroci produktów są trudne i nie dla każdego dostępne, zatem najbezpieczniej jest unikać towaru niepewnego, nieświeżego i z nieznanych rąk nabywanego. Kuchnia powinna być utrzymana ze skrupulatną czystością: o ile to możliwie, nie służyć za sypialnię, ani na skład obierzyn, kości i tym podobnych odpadków Produkty przed użyciem na potrawy, powinny być oczyszczone starannie rękoma, które powinny być dobrze wymyte mydłem, a paznokcie czyszczone szczoteczką. Podobnież i ręce jedzącego powinny być czyste, jak również naczynie stołowe i serwety. Pożyczanie sobie przy stole nożów itp., jedzenie z jednej misy — może łatwo rozszerzyć jakąś zakaźną chorobę, często bowiem sam chory nie wie o swojem niedomaganiu, gdy choroba jest jeszcze ukryta jest już zaraźliwą (ospa, dyfterya itp.). Czystą też, niezakurzoną i niezadymioną powinna być stancya. Spożywanie pokarmów w fabrykach, warsztatach, niepewnych jadłodajniach, jest niezdrowe, gdyż wykraczają one często przeciw przepisom czystości. Najlepszym, najzdrowszym napojem jest czysta woda, dobra woda źródlana. Należy ją pijać w umiarkowanej ilości i wolno. Podczas jedzenia picie wody jest szkodliwe, zbyt bowiem rozcieńcza soki żołądkowe, których cała energia jest potrzebną, żeby dokonać trawienia. Można się napić trochę wody na kwadrans przed jedzeniem i w pół godziny po niem. W braku dobrej wody źródlanej można zastąpić ją dobrą wodą studzienną, a nawet rzeczną filtrowaną, lub też zagotowaną i ostudzoną Dla braku smaku można taka wodę zaprawiać zlekka sokiem owocowym. Woda sodowa o ile jest zrobiona z dystylowanej wody, stanowi dobry napój, lecz zawarta w niej duża ilość kwasu węglanego działa na żołądki niektórych osób osłabiająco. Niewielkie ilości lekkiego naparu herbaty i kawy, zwłaszcza zaprawione mlekiem, są dobre i smaczne, ale użyte w większej ilości lub mocne — niekorzystnie działają na trawienie, a zarazem podniecają system nerwowy.

BEZ KOBIETY A ROLI.

Ej! gadajta, co chcecie!
Co kto woli — niech woli!
Niema szczęścia na świecie
Bez kobiety a roli!

Niema szczęścia przez tego,
Wszyćko kruche a marne,
Bo i gdzie co droższego
Nad te skiby, nad czarne!?

Bo i co się tam skrzepi,
Gdy na duszy jałowo
Jak swój zagon na ziemi
Swoje niebo nad głową!?

Co ci rzewniej zagada
Milej błyśnie na oku,
Niż ta kosa na niwie
A kobieta u boku? —

A i prawdę powiedzieć,
Co ci więcej potrzeba?
Gdy masz swoje kochanie
I swojego kęs chleba.

Ej! gadajta co chcecie!
Co kto woli — niech woli...
Niema szczęścia na świecie
Bez kobiety a roli!

Mają Niemce fabryki,
Jeździ Anglik za morze,
Nam Pan Jezus wydzielił
Oną ziemię i zboże!

Nam Pan Jezus wydzielił
Te poletka wzorzyste,
Ubrał w kwiecie pachnące,
Ubrał w kłosy złociste!

Jak te drzewa na miedzy,
Nas usadził nad smugiem,
Kazał chodzić porankiem
Z czystą myślą za pługiem!

I to słonko zapalił
U domowych stragarzy
I kobietę wyznaczył —
Na ten przykład... dla warzy!

Ej! gadajta, co chcecie
Co kto woli — to woli!
Niema szczęścia na świecie
Bez kobiety a roli!

Wszyćko inne marności!
Dziwne, kruche, a głupie!
Póki zagon pod stopą,
Póki „swoja“ w chałupie.

Póki kosy pobrzękiem
Zalatują do rżyska
Póki snopki w stodole
A na przyźbie dzieciska!

Póki ziemia a baba
Usta do cię rozchyla
Nie wierz, chłopie niczemu!
Póty szczęścia... i tyla!

Póty szczęścia prawego,
Póty naszej tej doli...
Nic nie znajdziesz lepszego
Od kobiety a roli!

Bo choćby się trafunkiem
Naprzykrzyła niewiasta
Toć na chwilę odpocząć
Możesz ruszyć do miasta.

I zobaczyć to, owo,
Choćby między obcymi —
Ale zawdy się trzymaj,
Swojej baby a ziemi!

HISTORYA SADOWNICTWA.

Hodowla drzew owocowych bierze swój początek w zamierzchłych wiekach, jako najstarsza i do wielkiej doskonałości doprowadzona gałąź rolnictwa. Pierwszym mieszkańcom świata służyły za pokarm dziko rosnące owoce. Historya powszechna wymienia Azyę, jako ojczyznę przedniejszych owoców, gdzie uprawiono sadownictwo przeszło 1$^1/_2$ tysiąca lat przed Narodzeniem Chrystusa. Najstarsze przepisy o hodowli drzew owocowych pochodzą od Mojżesza, który swemu ludowi zaleca: „Przy sadzeniu powinny być drzewa obcinane, poczem przez trzy lata pozostawione swobodnemu wzrostowi, w 4 roku owocu nie należy zrywać, dopiero w 5 roku wolno go spożywać!“

Później potomkowie Hebrajczyków doprowadzili sadownictwo do rozkwitu. Rzymianie znaleźli sadownictwo wysoko rozkwitnięte. Wódz rzymski Kukullus sprowadził morele, wiśnie i brzoskwnie do Włoch. Grecy z równą gorliwością oddawali się hodowli drzew, a Hipokrates na 500 lat przed Narodzeniem Chrystusa był pierwszym wynalazcą sposobu oczkowania drzew. Mądrzy prawodawcy ateńscy, Drakon i Solon wydali, w celu zabezpieczenia ogrodnictwa i sadownictwa, prawa, które kradnącym owoce śmiercią groziły. Z Włoch rozszerzyło się sadownictwo do Francyi, gdzie zakonnicy w ogrodach klasztornych uprawiali drzewa owocowe z pilnością i znajomością rzeczy. Niemcy francuskim zakonnikom zawdzięczają pierwsze wskazówki i hodowli drzew karłowych. Najstarszy historyk rzymski, Tacyt, mówi, że przodkowie dzisiejszych Niemców żywili sią owocami leśnemi, z sadowictwem zapoznali się dopiero później.

Zakonnicy w Niemczech wyrabiali przyjemny napój z dzikich jabłoni i grusz. Sadownictwo stało się pobudką do przyozdobienia krajów i podniesienia ich dobrobytu. Zakonnicy pracowoli szczególnie nad ulepszeniem i rozpowszechnieniem różnych odmian owocu, zwłaszcza zaś winorośli. Już w XII. wieku znajdował się w południowych i środkowych Niemczech cały szereg klasztorów, które posiadały ogromne ogrody owocowe i uprawiały winorośl. Historya niemieckiego sadownictwa wymienia jako zasłużonych, prócz Karola Wielkiego, wielu książąt. Fryderyk Wilhelm zalecił, aby nowożeńcy sadzili po 6 drzew owocowych, który to zwyczaj zaprowadzono także w innych okolicach. Elektor, August Saski sadził ze swoją żoną Anną, drzewa owocowe i napisał dzieło o sadownictwie. Fryderyk II. król pruski, polecił urządzić tarasy i szpalery owocowe przy swojem tusculum w Samcouci, gdzie posadzono brzoskwinie, winokrzewy i figi, dotąd tam hodowane.

W celu podniesienia u nas sadownictwa, powinny świecić przykładem i wspólną pracą dwór, plebania i szkoły elementarne, a spełniłyby szlachetny obowiązek wobec rodzinnego kraju.

WIEŚCI ZE ŚWIATA.

Bogumin-dworzec.

„Przez oświatę do wolności“, takie hasło wypisał sobie naród polski po upadku swej niepodległości, jako bodziec do pracy nad samym sobą. Jeżeli bowiem prawdą jest, że ciemnota i ujarzmienie większości członków społeczeństwa polskiego, były jednym z powodów naszego upadku, to właśnie przez oświecenie i uwolnienie tej większości prowadzi droga do naszej swobody politycznej. I zdaje się, że z wybudowaniem każdej choćby drobnej placówki oświatowej stajemy się bliższymi naszego celu.

Kresy od dawien dawna były i są przedmiotem szczególniejszej opieki każdego narodu. Kresy — to nie tylko granice językowe i kraniec siedziby jakiegoś szczepu, to nie tylko wysokie góry i szerokie rzeki, broniące wstępu obcemu najeźdźcowi — kresy — to przedewszystkiem szerokie pasmo kraju, uznojonego krwią i potem naszych przodków, którzy swą pierś nadstawiali w obronie narodu i jego dziejów.

Żal ściska serce Polaka, gdy czyta, że te kresy w dawniejszych czasach leżały w głębi dzisiejszych państw zaborczych; trwoga przejmuje nasze serca, gdy widzimy, że wróg nasz coraz to dalej sięga swemi szponami w naszą pierś ranną, gdy po trupach naszych rodaków przesuwa z każdym dniem swe kordony ku naszej zagładzie,

Niestety myśl obrony kresów, tak wzniosła u naszych przodków nie doznaje w dzisiejszem społeczeństwie polskiem należytego poparcia a przecież kresy i ich obrona to kwestya naszego życia. Kto kresów broni, ten zasłania swą piersią rodaków, mieszkających w głębi kraju polskiego, zasługuje przeto, żeby społeczeństwo to popierało jego wysiłki radą i czynem.

Dnia 10 listopada b. r. otwarto i poświęcono w Boguminie-dworcu trzyklasową szkołę imienia „Tadeusza Kosciuszki“, wybudowaną staraniem „Macierzy szkolnej“ dla Ks. Cieszyńskiego, dzięki ofiarności prawie całego społeczeństwa polskiego. Dziatwa szkolna otrzymała w tym samym dniu sztandar od krakowskiego Koła Pań „T. S. L.“. Podwójna ta uroczystość wyryła się głęboko w pamięć nietylko obecnym gościom, ale przedewszystkiem tym rodakom polskim, którzy od szeregu lat skazani byli na germanizacyę swych dziatek w szkołach jedynie niemieckich. Udział nadzwyczaj liczny w uroczystości — pomimo niepogody — tak miejscowych, jak zamiejscowych Polaków dowiódł, że lud polski potrafił godnie ocenić znaczenie tej nowej placówki oświatowej.

Po nabożeństwie udał się na czele dziatwy liczny zastęp naszych rodaków do nowo wybudowanego gmachu szkolnego, gdzie proboszcz miejscowy ks. Jeżek dokonał obrzędu poświęcenia. Poprzednio wygłosił kazanie okolicznościowe katecheta szkolny ks. Kokotek, przy uroczystości asystował ks. Kałuża z Łazów.

Następnie odśpiewała młodzież szkolna następującą dwugłosową kantatę:

Boże Ojcze, Stwórco nasz,
Ty potężny niebios Panie!
Głos dziecinny wzywa cię.
Prosząc o Twe zmiłowanie.

Pobłogosław temu dziełu.
Które ku Twej wznoszą chwale,
By ten dom stał się opieką,
Odporną na wrogów fale!

Ducha Twego ześlij nam,
Któryby nam wskazał drogę
Do światłości wiecznych bram,
Do Ojczyzny miłych progów.

Wskrześ w nas nadzieję przyszłości,
Wolną od przesądów wrogich!
Wlej odwagi w serca nasze,
Do zerwania oków srogich!

Przemówił prezes „Macierzy szkolnej“ dla Ks. Cieszyńskiego pan Hilary Hilasiewicz, wręczając klucz budynku szkolnego kierownikowi szkoły panu Janowi Szuścikowi. Podniósł w swej mowie trudne położenie „Macierzy szkolnej“, w jakim się znajduje z powodu coraz to nowych potrzeb kresowych i zaznaczył, że dla Bogumina „Macierz szkolna“ zrobiła wszystko, na co jej szczupłe fundusze starczyły, ba, stworzyła dzieło, przechodzące nawet jej siły. Pomoc społeczeństwa polskiego była i tutaj skuteczną, to też wdzięczność należy się przedewszystkiem jemu, w szczególności zaś zasłużyły się krak. Panie z T. S. L. około powstania tej placówki — stąd Im cześć! — W końcu zwrócił się do rodziców polskich z prośbą, by korzystali w pełni z tej szkoły i nie dali ani jednego dziecka do szkoły niemieckiej. Uczenica Jędrzejowska, wręczając bukiet, przemówiła do poprzednika w te słowa:

„Wielce Szanowny Prezesie „Macierzy szkolnej“, zacny nasz Dobrodzieju!

W imieniu polskiej dziatwy oddaję tę wiązankę kwiatów Tobie, jako wyraz dziecinnej wdzięczności za pracę i zasługi, które ponosisz dla dobra „Macierzy“ i dobra naszej szkoły.

Dla nas dziatek szkolnych stworzyła „Macierz szkolna“ przytułek i biesiadę duchową. dla Polaków w Boguminie ostoję, czyli warownię przeciw zakusom nieprzyjaciół. Wdzięczne nasze serca polskie wiążą się w wonny bukiet i składają Tobie uroczyste przyrzeczenie, że ze szkoły tej wyjdą dobrymi Polakami, bo wzbogacą się przykładem wielkich naszych przodków.

W twoje ręce składamy podziękowanie dla całego społeczeństwa za ofiary złożone na naszą szkołę, w Tobie czcimy zasługi całego Wydziału „Macierzy szkolnej“ i Tobie wołamy: „Żyj nam długo i pracuj dla dobra polskości! Szczęść Boże temu dziełu!“.

Następnie przemawiał chorąży Kuglin Wiktor do matki chrzestnej sztandaru P. Maryi Siedleckiej w te słowa:

Czcigodna Pani!

Dzień dzisiejszy pozostanie nam długo w pamięci. Dziś bowiem otwierają się dla nas podwoje polskiej szkoły, dziś wręczono nam sztandar, jako godło życia przyszłego.

Wiemy dobrze, co oznacza ten sztandar. Obraz cudowny Królowej Korony Polskiej — Matki Boskiej Częstochowskiej — przypomina nam, że mamy żyć w wierze — orzeł polski to znak, że Polakami żyć i umierać powinniśmy.

Odbierając ten sztandar z rąk Twoich, Czcigodna Pani — w imieniu dziatwy szkolnej składam dziś w ręce Twe uroczyste przyrzeczenie, że pod znakami tego sztandaru żyć i walczyć będziemy. Oby Bóg Wszechmocny i ta Królowa Korony Polskiej pomogli nam dzisiejszych ślubów w zupełności dotrzymać.

Czcigodna Pani! Wdzięczne nasze serca dziecinne składają do rąk Twoich podziękowanie za troski i ofiary, których zacne Panie krakowskie dla nas nie szczędzicie. W zamian za Wasze dobrodziejstwa przyjmijcie od nas przyrzeczenie, że staniemy się dzielnymi szermierzami wzniosłych haseł: „wiary i ojczyzny“. Serca nasze niesiemy Wam w ofierze i prosimy Was: nie zapominajcie i nadal o Waszych biednych sierotach na kresach! Cześć Wam!

W imieniu Koła Pań T. S. L. przemówił do dziatwy i nauczycieli w gorących słowach pan prof. Michał Magiera. Mowa jego patryotyczna wypowiedziana jędrnie i ogniście pobudziła do łez prawie wszystkich słuchaczów.

W imieniu T. S. L. przemawiał Pan Małecki, członek Zarządu głównego T. S. L. Życząc powodzenia nowej placówce, wskazał mowca na ucisk, jakiego doznaje naród polski od zaborczych mocarstw i na zadanie, jakie ta szkoła w przyszłości spełnić powinna,

Przemawiał jeszcze delegat Związku Pracy Narodowej pan Dymek. Zachęcał dzieci i rodziców do kształcenia się w pracy i miłości dla Ojczyzny i do wszystkiego, co tchnie polskością.

W końcu przemawiał kierownik szkoły p. Jan Szuścik. Klucze szkoły, które odebrał z rąk prezesa „Macierzy szkolnej“, uważa jako zaszczyt lecz oraz i ciężki obowiązek. Zaszczyt dlatego, ponieważ oznaczają one zaufanie, jakim go obdarza „Macierz szkolna“, powierzając mu pieczę nad dziatwą i szkołą; — ciężki obowiązek dlatego, ponieważ to jest placówka kresowa, na której praca, pomimo trudności nie wydaje należytych owoców. Zawód nauczyciela jest nadzwyczaj trudny. Społeczeństwo wymaga od szkoły coraz to więcej. Szkoła jest dla człowieka biednego jedynem dobrem, jakie prócz twardej pracy posiada. W szkole ludowej lud biedny pokłada wszystką nadzieję, jeżeli te zawiodą, wtedy następuje rozczarowanie i rozpacz. Mowca posiada wprawdzie najlepsze chęci, lecz siły jego są słabe, dlatego prosi, o pobłażanie w ocenie jego pracy i o pomoc rodziców w dziele wychowania. Rzecz jasna, że szkoła wszystkiego dać nie może i że bez współdziałania domu rodzicielskiego wyniki pracy szkolnej będą marne. Zwracając się do dziatwy, wzywał ją do wdzięczności wobec społeczeństwa polskiego, które swój ofiarny grosz łoży na utrzymanie tej szkoły, jakoteż do pilnej pracy w szkole, żeby z tej szkoły wyniosła jak najwięcej korzyści dla ciężkiego boju życiowego. Tylko światłe jednostki przybliżą chwilę naszego zbawienia i politycznego odrodzenia, dlatego pozostańmy wierni hasłu wypisanemu na bramie:

„Przez oświatę do wolności“.

Podczas obiadu wspólnego toastowano wesoło. Rozpoczął p. prof. Mohr, sekretarz „Macierzy“ witając w imieniu tegoż Tow. zebranych licznie gości i dziękując im za łaskawe przybycie. Odpowiedział w imieniu gości p. prof. Magiera. Pan Dymek podnosi szklankę na zdrowie kobiet polskich na Śląsku, które ową pracą na polu oświaty się zaznaczyły

Pan kierownik szkoły Szuścik, podnosi zasługi krak. „Koła Pań“ T. T. L., dziękując obecnym reprezentantkom tegoż za macierzyńską opiekę, jaką wyszczególniają szkołę bogumińską. Odpowiada p. H. Małecki, podnosząc działalność oświatową „Macierzy szkolnej“. Zasługi ofiarnego obywatela W. Mżyka, który pierwszy zakupił udział na budowę szkoły bogumińskiej, uczcił p. Kotas stosownem przemówieniem.

Taksamo podniósł zasługi p. dyr. Kozdonia, któremu urządzono owacyę. Pan kier. szk. bogum. przywitał licznie zgromadzonych nauczycieli narodowych z bliska i daleka, wznosząc toast na zdrowie nauczycielstwa narodowego i koleżeńskości. W końcu przemawiał jeszcze w imieniu klasy robotniczej prezes „Związku rob. chemicznych“ p. Łazarz Oziomek, wydalony już kilkakrotnie z pracy z powodu jego obrony spraw narodowych. Wniósł toast: „Oświata ludu polskiego niech żyje!“ Odpowiedziano hucznemi oklaskami.

Toastem „Kochajmy się“ zakończył p. prof. Mohr sekr. „Macierzy“.

Telegramy gratulacyjne nadeszły od: 1) J. W. P. prezydenta miasta Krakowa Dra Lea; 2) c. k. starosty Jaksy, Bobowskiego; 3) Młodzieży akademickiej śląskiej z Krakowa; 4) Związku sokolego we Lwowie; 5) Jana Gnidy z Wadowic.

Związek Pracy Narodowej darował nowej szkole ilustrowane dzieło Matejki „Poczet Królów Polskich“ i 35 książek do biblioteki szkolnej.

Na „Gwiazdkę“ dla biednej dziatwy zebrano 42 K 59 h.

Wiec zgromadził bardzo liczny zastęp tak kobiet jak mężczyzn. Referowali M. Wolińska o obowiązkach obywateli Polski. Pan E. Kermel o pracy gorliwej na polu oświatowem i społeczno-narodowem. Prof. Magiera wzywał wszystkich szczególniej kobiety do pracy nad uświadamianiem narodowem Kresów nowych i wspaniale motywując wnioski sekcyi Koła Pań T. S. L.

Wnioski które zostały jednogłośnie przyjęte, zamieścimy w następnym Nrze „Przodownicy“.

Na wiecu zapisało się około 50 kobiet, panów przeszło 80. (C. d. n.).

Katowanie dzieci polskich w szkołach pruskich. W Poznaniu toczył się przed kilku dniami proces przeciwko redaktorom „Przewodnika Katolickiego“ ks. Kłosowi i p. Marszałkowi o podburzanie do oporu podczas strejku szkolnego i o obrazę nauczycieli.

W procesie tym wyszły na jaw wprost okropne szczegóły o katowaniu dzieci polskich podczas strejku.

I tak nauczyciel Klein powołany na świadka przyznać musiał, że bił pewnego chłopca pomimo, że lekarz z powodu choroby nerek u chłopca, zabronił karania go chłostą.

Uczeń Zromiecki otrzymał pewnego dnia 11 uderzeń trzciną tak gwałtownych, że przez tydzień był chory. Nauczyciel wołał przytem

do dzieci: „jesteście zbrodniarzami a nie męczennikami!“

Inny uczeń otrzymał tyle plag odrazu, że zliczyć ich nie mógł, jego koledzy twierdzili, że było ich 25! Pewnej uczenicy wymierzono odrazu 24 uderzeń, uczniowi Bukasiewiczowi aż 48! Uczennicy Strzempkowskiej dano tak silne plagi na ręce, że miała je przez tydzień spuchnięte, nadto wywichnięto jej palce. Stwierdzno dalej, że nauczyciele wymyślali wobec dzieci na rodziców od głupców, buntowników i t. d. Mimo tych dowodów niesłychanej brutalności nauczycieli uwolniono, oskarżonych redaktorów jedynie od zarzutu obrazy nauczycieli — natomiast skazano ich na kary pieniężne za rzekome podburzanie przeciwko władzy.

Rzeź w Czernowie. Mała wioska w dolnym Liptowie, Czernowa, zdobyła sobie w jednym dniu imię historyczne, znane już dzisiaj w Europie całej. — Dzień to był krwawy, niby nasze Kroże. Wczorajsze „Narodnie Noviny“ w artykule: „Dadca o vražde v Cernovej“ przedstawiają całą przygrywkę do rzezi, jaką madziarscy żandarmi wyprawili wśród ludu słowackiego.

Czernowianie, choć niezamożni, ze składek własnych wystawili sobie kościół. Między zabitymi jest jedna kobieta, która na ofiarę złożyła 600 K pożyczonych. W składkach na świątynię nie brali udziału madziarscy księża, ani kanonicy, ani wreszcie biskup spiski. Nie dali oni na ten cel ani grosza. Ofiarnym był ks. Hlinka i stąd miłość ludu do niego. Biskup Parny początkowo przyrzekł dokonać poświęcenia kościoła, później atoli, kiedy lud prosił, aby ks. Hlinka mógł asystować przy poświęceniu, biskup już tylko zastępcę swego, kanonika Kurimskiego, do aktu poświęcenia wyznaczył. Ale 25 października kanonik ten otrzymał telegram, żeby nie przyjeżdżał na poświęcenie, gdyż bez Hlinki lud nie chce uroczystości. Delegat usłuchał i w niedzielę się nie zjawił.

W piątek wieczorem lud zabrał klucze od kościoła. Gdy się o tem dowiedział senator gminny, Baczkow, wyłamał drzwi siekierą i blachę oderwał, aby zamknąć kościoła nie można. Następnie pospieszył do Lipkowskiego Mikułasza, aby z pomocą „notarą“ Sonderlicha wezwać żandarmów. Istotnie też w sobotę 8 żandarmów przybyło do Czernowej a potem drugich ośmiu zjawiło się rankiem w niedzielę. Około godziny 10 w niedzielę przyjechali do Czernowej w powozach: dziekan ks. Sazurlik; rużomberski administrator ks. Fischer; katecheta ks. Kalocsai; ludrowski proboszcz ks. Hanzely. — Lud zebrany z daleka im dawał znaki, aby się wrócili. Kiedy chwycono konie za uzdy, aby je zawrócić, komendant żandarmów natychmiast dał 12 żandarmom rozkaz strzelania. Cztery salwy się odezwały. Natychmiast padło trupem dziewięć osób, śmiertelnie ranione padły trzy osoby, ciężko zranionych zostało 12 osób, z których trzy już umarło, a 4 osoby dogorywają.

Już potem kompania honwedów przybyła na pomoc żandarmom. Chłopiec pewien, lekko zraniony, pobiegł do lekarza Słowaka, Szrobara, i za to został natychmiast aresztowany. Dotychczas osadzono w więzieniu śledczem 8 Czernowian. Wieczorem tegoż dnia przybyły z Lewoczy dwie kompanie piechoty ze sędzią wojskowym i otoczyły Czernowę.

„Narodnie Noviny“ podają liczbę oraz imiona i nazwiska i wiek osób zamordowanych i rannych. Między zabitymi znajduje się dziewczyna 14-letnia, Antonina Sejko i tylożletni chłopiec, Andrzej Uhrina. Po zabitych zostało przeszło 50 sierót i wdów. — Lud nie chciał zabierać trupów do domu, „aby si ich teraz požrali vrahovia“ (wrogowie). — Wdowy oddawały żandarmom dzieci, skoro im żywicieli zamordowali. Trupy dopiero wieczorem z kałuży krwi usunięto.

Niema w tych szczegółach ani słowa przesady. Dziennik słowacki nie może sobie pozwolić na wybryki fantazyi, nawet prawdę musi podawać ostrożnie, bo ciężką bywa dla Słowaków łapa czernowska w wielkim Magyarorszaghu.

Jak już z depesz wiadomo, wniósł w tej sprawie w Sejmie węgierskim pos. Hodza interpelacyę. Przyjęcie, jakie madziarska większość tej interpelacyi zgotowała, było jeszcze większym skandalem od rzezi, którą w Czernowie wyprawili żandarmi na bezbronnym ludzie słowackim. Minister hr. Andrassy ma widocznie bardzo wytrzymałe sumienie, jeżeli z lekkim sercem przyjął za rzeź czernowską na siebie odpowiedzialność.

Jest wstydem i hańbą, że w parlamencie węgierskim nie odezwał się ani jeden głos w obronie posła, który protestował przeciw mordowaniu bezbronnego ludu. Krzykiem i wrzawą zdławiono interpelacyę Hodzy. To może uchodzić na Węgrzech, gdzie garstka

Madziarów pastwi się nad większością Słowian. Ale w opinii publicznej cywilizowanego świata nie zdławią Madziarzy głosu oburzenia na to, co w swoim kraju robią. Na to za słaby hr. Andrassy z żandarmami razem. Bezbronnych ludzi łatwo wystrzelać, ale z nimi razem nie zabije się publicznego sumienia. I pomyśleć, że z tą rzezią w Czernowie solidaryzuje się rząd, w którym zasiada rodzony syn Lajosza Kossutha.

Nauka gospodarstwa
kobiecego wiejskiego w Albigowej.

Kobieta, gospodyni na wsi, ma powierzoną sobie, ważną część gospodarczą. Pod jej bezpośrednią niemal opieką, pozostaje cała chudoba w niewielkim gospodarstwie włościańskiem.

Chata i najbliższe obejście — zajęcia domowe, jak: przygotowywanie jadła dla cudzej rodziny, wychowywanie dzieci i liczne różnorodne zajęcia: jako żony, matki gospodyni — to jej pierwszy dział pracy. Poza tem w części gospodarczej, uzupełniającej pracę gospodarza-rolnika, kobieta zajmuje wiele ważnych bardzo zajęć. Do obowiązków gospodyni należy piecza nad całem inwentarzem, za wyjątkiem starań przy koniach. Krowy, trzoda, drób i niewielki, jak do dziś, niestety, prowadzim ogródek z warzywami — to również przeważnie do zajęć kobiecych wliczamy.

Zresztą na co wyszczególniać te wszystkie różnorodne zajęcia. Zna je bardzo dobrze każda gosposia, kłopocze się niemi nieraz; czyni liczne zabiegi, bo odczuwa, że przy biedzie naszej u drobnego włościanina, te jej zajęcia ważną rolę odgrywają.

Istotnie, tak zwane kobiece gospodarstwo na wsi — te tak liczne zajęcia gospodyń w domu i przy obejściu, są bardzo ważne i coraz większego znaczenia nabierają.

Dobre ugotowanie strawy i umiejętne jej przyrządzenie, wyuczenie się nowych sposobów i wprowadzenie wielu potraw, jakie dziś jeszcze na wsi nie są w użyciu, w znacznej mierze złagodzić może trudne warunki życia wiejskiego u nas.

Ogromnego znaczenia jest umiejętne też wychowanie swych dzieci, od chwili przyjścia na świat, aż do czasu kiedy chłopiec lub dziewczyna wyrosną i sami na świecie rady dać sobie mogą. A czy możemy powiedzieć, że nasze matki po wsiach chować swe niemowlęta umieją? Ileż to smutku i rozpaczy przynosi nam śmierć dziecięcia? i ta matka, która tyle cierpień znieść musiała, tyle starań po urodzeniu dziecka, na jego wychowanie łożyła — musi nieraz rozstać się z ukochaną swą istotą na zawsze.

Wiele przyczyn śmierci niemowląt leży właśnie w nieumiejętnem obchodzeniu się z nowonarodzonem, w złem karmieniu i odżywianiu — słowem, w licznych powodach, które usunąć można i powinniśmy.

Zajęcia gospodarskie w obórce, chlewni, przy wychowie drobiu, wreszcie rozszerzenie uprawy warzyw na własne potrzeby, lub nawet na sprzedaż, mogą i powinny dać dochód poważny. Żeby jednakże mieć z tego działu zajęć gospodarskich możliwie największe dochody, trzeba umieć koło nich chodzić.

Dziś krowy nasze źle i niedostatecznie żywimy, starania wele nich nie dajemy takiego, na jakie te mlekodajne zwierzęta na to zasługują. I krowa nieodżywiana dostatecznie, nieczyszczona, w swoim czasie nie pojona, w rezultacie i mleka daje nam mniej, niżby go dać mogła. A z mlekiem czy obchodzimy się też dobrze, czy umiemy z niego smaczny ser i dobre masło zrobić? A wszak to w interesie gospodyń wiejskich leży, bo za dobre rzeczy świat dobrze płaci.

I przy wychowie wieprzaka, jak również przy chowie drobiu popełniamy liczne błędy, bo wiele nierozumiemy, bo nas tego nikt nigdzie dotychczas nie nauczył. Matka i babka robiły tak, więc też i my śladami ich idziem. Dobrze to naśladować swych ojców, lecz naśladować w dobrem, a samym się starać robić coraz lepiej.

Świat od nas gospodarzy na roli i od naszych gospodyń wiejskich wymaga coraz więcej tych różnych wiejskich produktów, lecz zarazem wymaga, by owe były coraz lepsze, doskonalsze.

A więc trzeba nam się, moje gosposie wiejskie, nauczyć w nowy sposób robić to wszystko, bo więcej i łatwiej sprzedać będziem mogli, a przez to i dochód nasz z gospodarstwa podniesie się znacznie.

Lecz gdzież się uczyć tego wszystkiego? Są na to książki i z tych o wielu, bardzo

wielu sprawach dowiedzieć się można i roztropnie, z rozwagą stosując te rady, wiele poprawić w naszych zajęciach gospodarskich by można. W gazetkach gospodarskich i w tej „Przodownicy“ wiele rad i wskazówek też z uwagą czytać należy i spróbować z początku po trosze, czy nie lepiej będzie, gdy wedle rad tych postąpimy.

Lecz jest jeden sposób najlepszy — nauczyć się tego w szkole takiej, która właśnie dobrego gospodarstwa na wsi wyuczeniem dziewcząt się zajmuje. Szkół takich u nas, na tym szmacie ziemi naszej polskiej, co to go Galicyą od stu przeszło lat przezwano— mamy kilka. Z tych, o jednej w kilku słowach wspomnę.

Jest w powiecie łańcuckim, założona przez powiat, Szkoła gospodyń wiejskich w Albigowej.

Szkoła ta, której światłym opiekunem i duchowym kierownikiem jest ks. kanonik Tyczyński, proboszcz w Albigowej. ma właśnie za zadanie zaradzić temu złu, które dotychczas u nas jest powszechne i co rok wyuczać kilkadziesiąt dziewcząt, jak trzeba gotować, prać, prasować i szyć. Tam dają ogólne wskazówki o pielęgnowaniu niemowląt, obchodzeniu się w nagłych wypadkach chorób i t p. Ważnym i zasadniczym działem nauczania w tej szkole jest nauka gospodarstwa wiejskiego, w ścisłym tego słowa znaczeniu. A więc: umiejętne obchodzenie się z bydłem rogatem; jak krowy karmić należy, z nimi się obchodzić, dobrze je doić, z mlekiem starania czynić, dobre masło wyrabiać i różne sery z mleka chudego robić.

A i wychowu trzody i tuczenia wieprzków uczą w tej szkole starannie. Z drobiem jakie mieć starania, jak wylęgać sztucznie, młode kurczęta karmić, podrośnięty drób tuczyć, by sprzedać go potem łatwo i dobrze, tego wszystkiego obecna pani nauczycielka tej szkoły, dobrze i starannie wyucza.

I o uprawie warzyw w szkole tej nie zapomniano. Dziś kiedy powszechnie tak mało sadzim warzyw przy naszych ogrodach wiejskich, wyuczenie się tego działu zajęć, jest bardzo ważne dla gospodarzy i gospodyń wiejskich.

Toż przecież uprawa warzyw na sprzedaż jest bardzo popłatną, a i dla własnych potrzeb nie siejemy i sadzimy tyle, ile się powinno. Toż groch, fasola, marchew, czerwone buraki, ogórki i t. p. warzywa, powinno się jeść jak rok długi i u gospodarza tego nie brak — jak dziś jest — lecz zbytek być powinien.

W szkole gospodyń wiejskich w Albigowej, młode dziewczęta-uczennice, wyuczyć się tego mogą bardzo dobrze, a co ważne także, że i gotować ich tam z tych warzyw, bardzo smacznych potraw wyuczają.

Ot, to pokrótce powiedziane, co w tej szkole w Albigowej, młode dziewczęta wiejskie nauczyć się mogą. Gospodarze i gospodynie! macie dziś możność wyuczenia waszych córek rzeczy nowych, bardzo, a bardzo pożytecznych i tym sposobem przyczynić się do polepszenia bytu tak naszego, jak i w przyszłości waszych dzieci.

Niech nikogo to nie wstrzymuje, że to koszt i na rok czasu wyzbycie się dorastającej dziewczyny — pomocnicy z domu. Ten pieniądz i czas na to użyty w lat kilka nam samym się wróci a i dla przyszłego życia waszej córki i jej późniejszej rodziny, błogie skutki przyniesie.

St. Tyl.

DZIAŁ GOSPODARCZY.

Przypomnienia gospodarskie. Długa i piękna jesień tegoroczna pozwoliła nam wszystkie roboty w polu i ogrodzie dokładnie wykończyć — teraz już mróz nawet z ogrodu wygania. Dla pracowitej i zabiegliwej gosposi robota jednak nie ustaje — nie mówiąc już o tem, że na święta trzeba nie jedno przysposobić — koło inwentarza roboty przybywa — już się nic samo nie używi, a na ręce gospodyni patrzy. Jeść trzeba wszystkiemu dać i częściej i lepiej — nie można dać za dużo od razu, bo zamarznie, tylko tyle, co zwierzątka od razu zjedzą.

Gdy nie wyjedzą wszystkiego resztki wyrzucić, a na drugi raz dać świeże.

Wodę do picia, czy to krowom. czy świniom, czy drobiowi dawać zawsze przygrzaną, nigdy z lodem i pamiętać, żeby tę wodę dostały przynajmniej trzy razy dziennie i to tyle ile wypiją.

Nie dawać znów zimnej lub ciepłej wody, bo i to jest szkodliwe — najlepiej, żeby wszystko było letnie, ani za gorące, ani za zimne.

Szkodliwe również jest za ciepłe jedzenie, dawane świniom, jakoteż i gorące ziemniaki kurom lub kaczkom.

Obórki, chlewki, kurniki opatrzeć jeszcze raz, żeby nigdzie nie wiało.

Okienka i drzwi w piwnicach dobrze od mrozu zabezpieczyć — o ile jednak mróz jest lekki, codziennie piwnice przewietrzać; a gdy odwilż, zupełnie okienko na cały dzień otworzyć — na noc bezpieczniej zamknąć, żeby mróz niespodzianie nie schwycił.

Warzywa w piwnicach od czasu do czasu przebierać i nadpsute odkładać osobno i zużytkować jak najprędzej.

Owoce też starannie przebierać, żeby się jedno od drugiego nie psuło.

Kopców i dołów z ziemniakami i warzywami pilnować i w miarę potrzeby przewietrzać lub grubszą warstwą ziemi lub liści okryć.

Pnie drzew poobwiązywać, zwłaszcza młode; obłożyć tarniną dla zabezpieczenia od zajęcy. Jeżeli duży śnieg spadnie, otrząsać korony młodych drzewek, aby się gałązki pod jego ciężarem nie poobłamywały.

Dobrze jest udeptywać śnieg około drzew, żeby wytworzyć twardą powłokę, przez którą mysz się nie przebije i która zabezpiecza od zbyt szybkich zmian temperatury.

Stare drzewa, brzydkie lub słabo rodzące wyrąbać i wykarczować.

O ile niema dużego mrozu, można jeszcze kopać dołki pod drzewka do wiosennego sadzenia. W wykopane wcześniej i odleżałe dołki, można sypać zaprawą pod przyszłe drzewka.

Można robić regulówkę pod przyszłoroczne szkółki lub warzywa.

Strzedz od myszy zasiewy warzyw robione na jesieni.

Zbierać zrazy z drzew owocowych do szczepienia na wiosnę i przechować w piwnicy.

Z drzew i krzewów ozdobnych ciąć na sadzonki i zrazy i też w piwnicy zadołować.

Nasiona zebrane w jesieni wieczorami wykruszać, oczyszczać i zesypywać do woreczków. Wieszać te woreczki w chłodnem miejscu, żeby się nie zeschły. Uważać, żeby myszy się do nich nie dostały.

Rośliny w doniczkach podlewać bardzo mało, aby tylko zupełnie nie wyschły, a o ile można dać im jak najwięcej światła i słońca.

Popiół zbierać i posypywać nim trawniki; jeżeli trawników niema, popiół użyć na komposty.

Na komposty też wynosić wszystkie odpadki gospodarskie, których świnia nie zje — nawet śmieci.

Prosperować wszystkie narzędzia ogrodnicze.

Ponaprawiać kosze, pleść nowe, kto umie.

Robić maty do przykrycia wczesnych zasiewów.

Naszykować kołki, tyczki, paliki, deseczki do napisów, żeby wystarczyło na całe lato.

Na święta wcześnie wszystko przygotować, żeby nie nagromadziło się roboty na ostatnią chwilę. Bieliznę wyprać wcześniej, żeby zdążyła wyschnąć na święta. *K. P.*

Strucle. Pół garnca mąki zaparzyć 3 kwaterkami mleka, żeby żadnych gruzołków nie było, a gdy przestygnie wlać 8 deka drożdży, rozmoczonych w kwaterce mleka, rozmieszać, posypać mąką i zostawić w cieple aż podrośnie.

Wziąć ubitych 10 żółtek i pianę z 10 białek, dolewać po trochu do ciasta, mieszając ciągle kopyścią. dosypać pół garnca mąki i łyżeczkę soli. Gdyby ciasto było za rzadkie dosypać jeszcze trochę mąki. Naostatku wlać kwaterkę sklarowanego masła. Po wlaniu masła już mąki dosypywać nie można.

Wybijać ciasto jak najmocniej nie ustając ani na chwilę, póki dobrze od niecki i kopyści nie zacznie odstawać.

Lepiej się udaje ciasto za gęste niż za rzadkie. Gdy ciasto zacznie rosnąć, robić podłużne strucle; kładąc do pieca posmarować jajkiem i posypać grubym cukrem.

Ogólne uwagi o pieczeniu ciast podaliśmy przed Wielkanocą, więc tutaj ich powtarzać nie będziemy.

Strucle z makiem. 1 kilo maku sparzyć wrzącą wodą. Po 12 godzinach mak uwiercić w donicy, wymieszać z cukrem lub miodem i dodać odrobinę cynamonu.

Ciasto można użyć przygotowane według podanego wyżej przepisu, lub jeżeli kto chce, żeby było lepsze, wziąć więcej jaj, masła, a zwłaszcza cukru.

Kawał ciasta rozpłaszczyć na posypanej mąką stolnicy, a na nim rozsmarować grubo mak uwiercony.

Zwinąć razem w podłużny wałek, zostawić

żeby podrosło na blasze; przed wsadzeniem posmarować i posypać grubym cukrem.

Mak w chwili rozsmarowywania musi być cieply, ale nie za gorący.

Jak poznać czy ryba świeża. Najlepiej kupować ryby żywe. Te jednak są znacznie droższe — a w czasie wielkiego mrozu wszystkie bywają zamrożone.

Czasami ryba szczególniej zamrożona, nie cuchnie, a jednak jest zepsutą i szkodliwą. Trzeba uważać czy skóra ma zwykły kolor, gdyż jeżeli zciemnieje, już ryba zepsuta.

Dalej, jeżeli skrzela są czerwone, ryba świeża, jeżeli blade lub ciemne zepsuta.

Najłatwiej zaś poznać po oczach, u ryb świeżych oczy są wypukłe, a im więcej nieświeża ryba tem więcej w głąb wpadnięte.

Jak przechować ryby, żeby się przez kilka dni nie zepsuły. Wiadomo jak ryba szybko się psuje. Czasem wypadnie tak, że na parę dni przed Wigilią możemy dostać ryb łatwo, a później z trudnością lub znacznie drożej; można wtedy przechować ryby w następujący sposób: Świeżo złapane ryby zabić, przecinając kręgosłup tuż koło łba. Następnie rozciąć płasko przez całą długość, oczyścić z wnętrzności i każdy kawałek natrzeć miałkim cukrem. Układać w fasce lub misce przesypując grubo solą.

Codzień odlewać sos i po wierzchu ryby nim polewać.

W taki sposób przechowane ryby mogą stać 2—3 tygodnie.

Przed użyciem na parę godzin wymoczyć w letniej wodzie. Wodę tę trzeba parę razy odmienić.

Przechowują ryby żywe przez kilka dni w ten sposób: Kładą rybie w pyszczek kawałek chleba umoczonego w spirytusie, a następnie obkładają z wierzchu i ze spodu suchym śniegiem, lub drobno utłuczonym lodem i trzymają na mrozie.

Krótkie uwagi dla pasieczników na miesiąc listopad i grudzień. Aby pszczoły dobrze przezimowały, muszą mieć dosyć powietrza w ulu i dlatego nie trzeba wylotów sitkować całkiem ale tylko pewną część, tak. aby powietrze miało dostęp, a pszczoły w dni ciepłe mogły się bez przeszkody oblecieć. Ule o grubych ścianach lub słomiane nie potrzebują na zewnątrz żadnej obściółki lub opakowania. Zaś ule o cienkich ścianach trzeba przed zimnym wiatrem i mrozami stosownie zaopatrzyć t. j. obstawić je ochroną ze słomy, albo poobwijać szmatami, nie zatykając oczka.

Kto zimuje pszczoły w nieopalonej izbie lub stebniku, powinien poustawiać ule, jeżeli jest zimno, już w październiku lub listopadzie. Nie potrzeba atoli zbyt wcześnie ule z pola zabierać, dokąd się spodziewać można dni cieplejszych, w których pszczoły jeszcze wylatywać mogą. Naturalnie, że tak zimujące ule nie potrzbują ani opakowania zewnątrz ani zaściółki wewnątrz uli. Baczyć tylko należy, aby stebnik lub izba były suche i przewiewane, oraz by w nich myszy nie niepokoiły pszczół; gdzie są, trzeba je łapkami wyłapać.

Przez wszystkie miesiące zimowe przedewszystkiem baczyć należy, aby tak koło uli zimujących na polu, jak i w schowalniach, był bezwarunkowy spokój. Niepokojne czemkolwiek pszczoły, rozchodzą się z kłębu i albo marzną albo się zaperzają, nie mogąc wylecieć z ula dla oddania kału. Jeżeli się trafi dzień zimowy, mający 8—10 stopni ciepła, to trzeba pszczoły bez względu na śnieg, który trzeba gałązkami cetyny nakryć, lub czemkolwiek od blasku posypać, do oblecenia się zmusić.

Ule zasypane śniegiem należy przy nastaniu odwilży ze śniegu uwolnić, a oczko, jeżeli jest zamarznięte, drutem rozgrzanym odtajać i czyścić. Troskliwy pasiecznik odwiedza w każdym miesiącu, a szczególnie podczas zmiany temperatuty swoją pasiekę, będzie też nasłuchiwał, czy nie usłyszy huczenia pszczół, mających w ulu za zimno lub za ciepło i stosownie do tego albo ul obściele, albo obściółkę odejmie, albo stebnik zamknie, albo go przewietrzy.

Długich zimowych wieczorów należy użyć na wyrabianie uli, ramek i t. p. przyborów pasiecznych, oraz na czytanie dobrych książek i gazet o pszczelnictwie.

Wychów cieląt herbatą z siana. Pan W. Świerczyński pisze w „Gazecie rolniczej": Od kilkunastu lat poję cielęta herbatą z siana z dobrym skutkiem. Zastępuje mi ona mleko odtłuszczone, powszechnie dziś używane. Wielu jest takich, co mleka odtłuszczonego nie mają, biorąc dobrą cenę za mleko nieodtłuszczone i dla dobrej ceny mleka cieląt nie chowają ze szkodą dla siebie, bo dziś za dobrą dójkę drogo zapłacić potrzeba. Wprawdzie cielę do trzech lub czterech tygodni potrzebuje koniecznie pić, przeważnie samo mleko, lecz

po upływie tego czasu żołądek cielęcia może już przyjąć część jakąś innych stosownych i strawnych pokarmów. Dodawanie do mleka smelek, gotowanych z mąki, powszechnie używanych, nie powinno mieć miejsca, bo te są za ciężkim pokarmem, cielę dostaje od tego dużego brzucha i nie wykształci się normalnie. Herbatę z siana przyrządza się w ten sposób: w naczynie wielkości stosownej do ilości cieląt, napycha się szczelnie dobre, słodkie i pogodne sprzątnięte siano do samego wierzchu, nalewa się gorącą, gotowaną wodą tak, żeby wszystko siano zamoczyła i przykrywa się na dwie do trzech godzin (koniczyna do tego nieprzydatna), po upływie tego czasu odlewa się esencya ciemna, dodaje się do garnca takiej esencyi $^1/_8$ funta potłuczonego ugotowanego siemienia lnianego, a jeśli tego niema, to $^1/_4$ funta kuchu lnianego, rozpuszczonego w gorącej wodzie (siemię lniane lepsze), nieco osolić i poidło gotowe. Normy urządza się podobnie jak z mlekiem odtłuszczonem, t. j. po trzech tygodniach wieku cielęcia dodaje się do mleka małą ilość, n. p. $^1/_4$ część litra na raz, powiększając tę ilość stopniowo przez tydzień do jednego litra. Wtedy dostawać będzie cielę około 3 litrów mleka i jeden litr herbaty — porcyę taką trzy razy na dobę. W następstwie ujmuję się stopniowo mleka, a dodaje herbaty, ażeby po 10 tygodniach wieku cielę dostawało już samą herbatę i przestać pojenia. Ciele w tym wieku najeść się może owsa i siana, tych powinno dostawać do 6 miesięcy wieku, ile potrzebuje.

Uprawa wierzby koszykarskiej. Wierzba koszykarska wymaga przedewszystkiem położenia odkrytego i dobrze spulchnionej gleby, nie lubi zaś wody zaskórnej. W większości wypadków konieczna będzie regulówka na głębokość co najmniej 50 cm. Regulówkę można wykonać o każdej porze, nawet podczas zimy, jeżeli ziemia nie zmarzła zbyt silnie i nie pokryła się śniegiem. O ile możności powinna jednak być wykończoną w początku zimy aby mróz mógł dodatnio wpłynąć na świeżą glebę przed sadzeniem. Przedewszystkiem odnosi się to gruntów ciężkich, gliniastych, ponieważ dobry rozwój wierzby w znacznym stopniu zależy od uprawy gleby. Grunta mokre należy przedtem odwodnić, a mianowicie w ten sposób, aby korzenie wikliny nie dostały się do wody zaskórnej.

Najkorzystniej jest sadzić sadzonki z jednorocznych pędów (latorośli) t. j. z takich, które dopiero w ostatnim roku wyrosły. Sadzonki kraje się na długość od 20 do 30 cm. z pręci średnio grubych. Czas sadzenia trwa od października do kwietnia, zatem od tej pory, gdy wiklina zgubiła liście, aż do wiosny, kiedy znowu puszcza świeże pędy. Im prędzej sadzonki dostaną się w ziemię, tem lepiej dla nich. Powierzchnię należy wyrównać krótko przed sadzeniem, aby można bez przeszkód wykonać całą robotę.

Można się posługiwać sznurem, na którym są ponawiązywane kolorowe wstążeczki, oznaczające regularne odstępy. Odległość między rządkami wynosi co najmiej 50 cm., odstępy zaś sadzonek w rządkach 10—40 cm. zależnie od ich jakości. Im gęściej posadzono wiklinę, tem jest ona cenniejsza; rośnie ona smuklej, jest trwalsza i nie wypuszcza ona bocznych pędów. Trzeba jednakże zwracać uwagę, aby ziemia między rządkami była czyszczona z chwastów.

Na zasadzenie 1 morga liczy się przy 50 cm. odstępach rządków i 20 cm. roślin 57.000 sadzonek, przy 60 cm. odstępach rządków i 30 cm. roślin zaś 32.000 sadzonek.

Te dległości najwięcej są w użyciu, a dla otrzymania pręci cieńszych sadzi się gęściej, dla osiągnięcia zaś grubszych – rzadziej.

Glina jako środek opatrunkowy dla bydła. Często powstają u bydła wskutek ukąszeń rozmaitych owadów lub wskutek odparzenia lub też z naturalnych przyczyn bolesne, ropiące się rany, które trudno zagoić zwłaszcza dlatego, że nie jest rzeczą łatwą utrzymać ranę w czystości, zapobiedz tworzeniu się bakteryi i sączeniu się materyi. Starzy praktycy uważają glinę w stanie suchym i sproszkowanym za bardzo skuteczne lekarstwo na rany u bydła; posiada ona własność chłodzenia i wysuszania ran, a przytem usuwa w krótkim czasie wstrętny odór, jaki mają zazwyczaj ropiące się u bydła rany, Zwrócić jednakże należy uwagę na to że jedynie glinie czystej, t. j. nie zanieczyszczonej gnijącemi nieraz odpadkami, przypisują te własności lecznicze; przez użycie gliny brudnej wprowadziłby tylko można do rany zarodki nowego ropienia się i pogorszyć w ten sposób stan chorobliwy.

ROZMAITOŚCI.

Królestwo Polskie. Strzały w kościele. Pisma warszawskie donoszą o niebywałej zbrodni:

We wsi Serokomla, w pow. łukowskim, miejscowy proboszcz ks. Domański, wymówił miejsce organiście Czerskiemu. Organista pałając za to zemstą, podczas odprawianego przez ks. Domańskiego nabożeństwa pewnej niedzieli, strzelił do niego dwukrotnie z chóru. Raniony proboszcz padł na stopnie ołtarza. W kościele powstał popłoch. Modlący się, spostrzegłszy, skąd pochodzą strzały, rzucili się na chór, aby rozbroić strzelającego. Ten zamknął drzwi na chórze, zatarasował wyjście i nie chiał nikogo wpuścić. Tłum wysadził drzwi i wtargnął na chór, co widząc organista, strzelił do siebie dwa razy w usta i ciężko się zranił. Wyniesiono go z chóru i oddano w ręce straży ziemskiej, która przewiozła rannego do szpitala w Łukowie. Z powodu przelewu krwi, kościół serokolmski opieczętowano aż do ponownej konsekracyi.

Morderstwo, dokonane przez pruskiego nauczyciela. Do całej ohydy pruskiej przybywa fakt nowy: nowa zbrodnia. Oto co donosi „Gazeta Ostrawska“.

W czwartek dnia 4 listopada b. r. poszedł, jak zwykle, jadenastoletni synek gospodarza Kempińskiego z Jankowy Przygockiego, Antoś, do szkoły; tutaj otrzymał od nauczyciela kilka silnych uderzeń trzcinką po głowie. Wróciwszy do domu, musiał się zaraz położyć i zaczął się skarżyć na zawrót i ból głowy. W kilka niespełna godzin utracił przytomność. Nazajutrz przywołany ksiądz i lekarz zastali go nieprzytomnego. Lekarz stwierdził ostre zapalenie mózgu i zalanie mózgu krwią. W nocy chłopiec życie zakończył.

W sobotę nad wieczorem zjechał komisarz i inspektor szkolny powiatowy celem przeprowadzenia śledztwa. Dzieci zeznawały, że ów nauczyciel często bije po głowie. Zarządzono sekcyę zmarłego, a nauczyciela zawieszono w urzędzie.

Z wychodźtwa. Czy warto iść do Ameryki? Wychodzące w Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej pismo „Wielkopolanin“ w artykule o „Polakach w Ameryce“ zastanawia się nad pytaniem, czy wychodźcy z kraju znajdą w Ameryce lepsze warunki bytu. Odpowiedź nie wypada bynajmniej pocieszająco.

„Gdy się zapytać polskich wygnańców: co was tu sprowadziło? wszycsy jak jeden mąż odpowiedzą: nielitościwe prawa, lub wprost nędza wypędziła nas z ojczystych zagród.

Przyjechaliśmy do Ameryki, bo tu przecież pewnie nam lepiej będzie.

I czyż jest im tutaj lepiej?

Tak i nie! Jest tym lepiej, którzy przyjechali do krewnych lub znajomych i za ich pośrednictwem, krótko po przybyciu do Ameryki, znaleźli pracę. Ale nie jest lepiej, lecz gorzej tym, którzy wybrali się do Ameryki, nie mając wyobrażenia w kraju o warunkach bytu, o tem, co z sobą poczną, gdy zjedzą ostatni kawał okrętowego chleba. Ludzie ci, wybierając się do Ameryki, są absolutnie przekonani, że dbać o nich, jest czyimś obowiązkiem, tylko nie wiedzą czyim!

Widząc, że się omylili, chodzą po ulicach, jakby na pół obłąkani, nie wiedząc, co począć, wrócić do kraju nie ma za co i do czego, a ratując się od śmierci głodowej, dostają się zazwyczaj do niewoli agentów żydowskich.

Walka o ten byt, brak roboty, zmusza biedaków do zdania się na łaskę i niełaskę tychże agentów, którzy sami następnie, wedle własnej woli i chęci układają warunki płacy i pracy.

Chociaż dziś niby nie wolno kompaniom okrętowym przewozić tych, krórzy nie mogą się wykazać oznaczonym z góry kapitalikiem, lub pewności otrzymania zarobku w Ameryce, jednakże w każdem większem mieście spotkać można dziesiątki, ba! nawet setki nieszczęśliwych, biednych, bez grosza, bez pracy, Polaków.

Niech więc ci, którzy nie mają w Ameryce krewnych lub znajomych, nie opuszczają lekkomyślnie swego kraju, bo jeśli w Europie jest dokuczliwa bieda, to niewątpliwie bieda w Ameryce jest dziesięćkroć dokuczliwsza. Na chybił trafił nie warto wyjeżdżać do Ameryki, bo co było dawniej, to nie dzisiaj; gdzie dawniej zatrudniano 100 robotników, dziś wystarczy kilku, bo coraz to więcej udoskonalone maszyny zabierają miejsce robotnikom.

Najmłodszy adwokat w Paryżu. Panna Helena Miropolska, córka lekarza z Królestwa Polskiego, otrzymała świeżo dyplom adwo-

kacki w Paryżu, począwszy zaledwie 21 wiosnę życia. Zaszczyt to dla panny Miropolskiej tym większy, że w tak młodym wieku została adwokatem. Z całego legionu adwokatów płci męskiej dotychczas bodaj żaden nie osiągnął tego stanowiska w dwudziestym pierwszym roku życia.

Plaga wróbla. Plagą wróbla zajmują się obszernie dzienniki amerykańskie. Do r. 1851 nigdzie w Ameryce wróbli nie było: dopiero w tym roku sprowadzono je z Anglii w nadziei, że wpłyną korzystnie na zmniejszenie się liczby owadów. Ale stało się inaczej. Wróbel przeniesiony do Nowego Świata znalazł w nim odrazu nową i widocznie bardzo miłą ojczyznę, skoro w krótkim bardzo czasie nietylko rozmnożył się w niezliczone miliony, ale i znacznie się zmienił, bo stał się większy, tęższy i zuchwalszy. Dziś wróbel jest plagą i jednym z największach szkodników w Ameryce, którego się tępi, jak dotąd, bez najmniejszego skutku. Stany Michigan i Illinois wydały w latach 1887 do 1095 117.000 dol. na walkę z wróblami, ale nie osiągnęły żadnego skutku. Wróbel domowy w Ameryce ma 5 do 7 razy w roku potomstwo i jeżeli w Europie jest awanturnikiem, to w Ameryce stał się po prostu anarchistą, zajmuje bez ceremonii gniazda innych ptaków, mianowicie jaskółek, które jako słabsze, z wróblem walczyć nie mogą, lub rozbierając cudze gniazda bez skrupułu na własną potrzebę. Za jedyny sposób skutecznego tępienia wróbli uważają niektórzy systematyczne niszczenie im gniazd, ale czy wobec milionów tych ptaków w Ameryce postępowanie to doprowadzi do pożądanego celu — wątpić należy.

Drzewo mięsożerne. Do niezwykłych i mało znanych okazów świata roślinnego należą drzewa mięsożerne. Gdy Linneusz po raz pierwszy ujrzał roślinę, pożerającą muchy, nie znalazł dla niej odpowiedniejszej w swem mniemaniu nazwy, jak „dziwo natury". Po Lineuszu wielu uczonych badało takie rośliny, a Darwin napisał o nich ciekawe studyum. Ale zbadane przez niego okazy były niewielkie.

Aż oto botanik Dunstan, nad brzegami jeziora Nicaragua, w Ameryce środkowej widział roślinę tak wielką, że może psom zadać szwank poważny.

W czasopiśmie włoskiem Dunstan opisuje, że w drodze do Nicaragua, pewnego dnia doleciały jego uszu wycia przeraźliwe. Podszedłszy bliżej, zobaczył psa, spętanego jakby trzema gumowymi powrozami, które go tak silnie skrępowały, że mu przecięły skórę do krwi. Te powrozy wypuszczała z siebie roślina mięsożerna, nieznana dotychczas Dunstanowi, zwana „Landoctopus".

Gałęzie tego drzewa podobne są do brzozy, mają tę samą giętkość, lecz listki są czarne, wydają z siebie kleistą ciecz i zaopatrzone są jakby w wyrostki ssące, przy których pomocy chwytają swą ofiarę i wysysają z niej krew. Niełatwo przyszło Dunstanowi oswobodzić ofiarę, gdyż pies był omotany do koła.

Nie dziw, że uczony nie badał ściślej rośliny, która go mogła życia pozbawić. Opisuje, że ciecz, którą wydzielają listki, ma zapach wielce niemiły. Gdy drzewo wysączy krew z swej ofiary, rozluźnia, pęta i puszcza ją swobodnie.

Ryby jako pożywienie. Mięso rybie zawiera w sobie, jak wiadomo, fosfor, który przydatnym jest do wytworzenia kości i do odżywiania układu nerwowego, tudzież mózgu. Z tego powodu ryby są bardzo dobrem i pożytecznem pożywieniem dla osób wyczerpanych pracą umysłową, wogóle dla pracujących głową, dotkniętych bezkrwistością nerwów, a nawet dla dzieci słabowitych do wytwarzania i wzmocnienia kości. Ryby chude są strawniejsze niż tłuste; kto jednak ma zdrowe organa trawienia, może bez obawy spożywać wszelkie, nawet najtłuściejsze ryby; tłuściejsze są nawet wskazane dla osób dotkniętych chorobami płuc.

Miasto zniszczone trzęsieniem ziemi. Z Taszkientu donoszą: Podczas trzęsienia ziemi dnia 21 z. m. w tutejszej okolicy zostało doszczętnie zniszczone miasto Karatag. Cała ludność, licząca 15.000 mieszkańców, została pogrzebaną pod gruzami miasta. Ocalał tylko (?) gubernator i jego matka.

„Fabrykantka aniołków". Z Przemyśla donoszą: We wsi Końkowcach pod Przemyślem żandarmerya wpadła na trop wielkiej „fabryki aniołków", prowadzonej przez tamtejszą wieśniaczkę, Maryę Dłubończykową. U owej fabrykantki 4 z. m. znaleziono trzynaścioro dzieci kilkomiesięcznych, zbiedzonych i wychudzonych, a dostarczaniem „towaru" fabrykantce trudniła się faktorka Serla Foss z Przemyśla. Między dziećmi było 12 katolickich, a 1 izraelickie. Kobieta w ten sposób wychowywała dzieci, że je bez opieki i bez pokarmu pozostawiała w domu zamknięte, a sa-

ma szła na robotę. Niemowlęta porzucone czołgały się głodne, jedno na drugie przewracając się w nieczystościach. Kwilenie i płacz wypełniały ciągle małą izdebkę. Po powrocie do domu, kobieta katowała maleństwa i dawała im pić rum. To też jedno po drugiem marło. Wreszcie pogrzeby zwróciły uwagę żandarmeryi i odsłoniły w całej grozie wstrętne rzemiosło okrutnej kobiety. Dotąd odnaleziono 10 matek owych dzieci. Dłubończykową aresztowano.

Ruch powrotny z Prus. W ostatnich czasach panuje na kolejach naszych spotęgowany ruch powrotny robotników rolnych z Prus. Przez Kraków przejechało już kilka tysięcy robotników obojga płci w powrocie do kraju. Wracają oni z odległych stron państwa niemieckiego, jak z Brandenburgii, Saksonii, a nawet z Danii, wioząc krwawym trudem zdobyty i zaoszczędzony grosz pod strzechę rodzinną. Liczni złodzieje czyhają w drodze na dobytek robotników i na każdej stacyi, gdzie przesiadają się do innych pociągów, popełniają na ich szkodę kradzieże. Władze policyjne czuwając nad bezpieczeństwem jadących, każdego dnia aresztują kilku rzezimieszków. Szczególnie na stacyi Podgórze-Płaszów, gdzie skupia się ruch kilku linii kolejowych, panuje ożywiony ruch i liczni podróżnicy padają ofiarą rzezimieszków. Wczoraj np. dwaj znani policyi przestępcy, Ludwik Jadłowski i Józef Sławowski, kręcąc się po dworcu płaszowskim, skradli jednemu z powracających robotników kufer podróżny, sądząc, że w nim znajdą gotówkę. Skorzystali z chwili, gdy robotnik odszedł na bok wody się napić, i z kufrem umknęli. W kufrze jednak znajdowała się garderoba, gdyż pieniądze w kwocie 300 koron, robotnik na szczęście przesłał rodzinie pocztą. Obu złoczyńców schwytano i niektóre z skradzionych przedmiotów im odebrano.

Kalendarza Kółek rolniczych rocznik czwarty na rok 1908 zdobny w nową piękną kartę tytułową według rysunku artysty-malarza Prof. Rybkowskiego już wyszedł z druku i zawiera, tak samo jak w latach poprzednich bardzo obfitą treść literacką i ekonomiczno-rolniczą, poprzedzoną w tym roku statutem Towarzystwa, szczegółowem zestawieniem składu Zarządu głównego oraz Zarządów powiatowych i wykazem wszystkich istniejących Kółek rolniczych. W literackiej części wśród starannego doboru utworów poetyckich i opowieści żywe zainteresowanie wzbudzą zapewne wśród włościańskiej ludności kraju „wskazówki dla wychodzców do Ameryki opracowane przez inż. Modesta Maryańskiego. Rolnicza część, zawiera artykuły o oprawie roślin strączkowych, o kozie o hodowli królików, o mieszankach roślin pastewnych opracowana przez fachowych znawców przedmiotu przyczyni się do rozszerzenia i pogłębienia wiedzy rolniczej w kraju i do troskliwszego zajęcia się ubocznemi gałęziami gospodarstwa wiejskiego. Kalendarz zaopatrzony obficie w ilustracye tak w części literackiej i w części rolniczej, kończy się zwykłem działom informacyjnym, zawierającym przepisy pocztowe, wykazy posłów, adwokatów, spis jarmarków i t. p., oraz osobnym działem humorystycznym. Cena nadzwyczaj przystępna, gdyż przy 300 stronach druku wynosi 80 hal. za egzemplarz broszurowany a 90 za oprawny. Nabyć można w Zarządzie głównym Towarzystwa Kółek roniczych ul. Kopernika 19 oraz w księgarniach. Skład główny w księgarni Altenberga we Lwowie.

Niesienie się kur zimową porą. Kto sobie życzy, aby mu się kury niosły zimową porą, powinien zaopatrzyć je w zieloną paszę, ponieważ doświadczenie uczy, że jest to nieodzownie potrzebnem do wyrobu jajka. Gdzie w domu jedzą jarzyny, tam można rzucać kurom zielone odpadki od takowych, najlepiej jednakże jest zaopatrzyć się jesienią w kapustę lichszego gatunku, której główkę zawiesza się w kurniku w ten sposób, by mogły ją dziobać według swego upodobania. Można zresztą poprostu rzucać pojedyncze listki.

Zdania i myśli.

Najwięcej cierpień naszych pochodzi z obawy nieszczęść, które się nigdy nie zdarzą.

Gdy się czujesz w gniewie, przelicz w myśli dziesięć wprzód, nim wymówić zaczniesz; w pasyi — przelicz sto.

Mądry Wojtek.

— Wojtek, dasz ty nareszcie na zapowiedzi, czy nie?

— Dam.

— A kiedy?

— Jak mi twój tatulo obiecają łysą krowę z cielęciem — to dam, a jak będą dawali graniastą, to pójdę do Maryny.

PYTANIA I ODPOWIEDZI.

Cytryna jako lekarstwo domowe. Gorąca limoniada, przed pójściem do łóżka wyleczy katar.

Płukanie gardła silną męszaniną soku cytrynowego z wodą, leczy ból gardła.

Kawałek płótna umoczony w soku cytrynowym, owinięty około rany, wstrzyma upływ krwi.

Silna, nieosłodzona limoniada, wypita na czczo przeszkodzi atakom żółciowym.

Sok cytrynowy dodany do mleka zważy takowe, ser ten wyciśnięty i rozpostarty na miejscach opuchniętych przez reumatyzm i owiązany płatkiem przynosi bardzo wielką i szybką ulgę.

Rady domowe. Doskonałem dodatkiem do paszy dla kur jest nasienie pokrzyw i młoda koniczyna suszona. W jesieni można dużo nazbierać pokrzyw koło domu i na nieużytkach różnych i zrobić zapas na zimę. Pokrzywy wpływają dobrze na nieśność. Koniczyna młoda suszona i utarta na proch, może być dawana razem z otrębami zarobionemi na gęste ciasto i na kluseczki. — Tuczą się tem kury jak i gęsi doskonale.

Pypeć. Bardzo często chorobą u drobiu w jesieni jest pypeć, czyli rodzaj kataru, zapalenie w dzióbie. — Przy tej chorobie nozdrza kur zalepiają się ropą, a język pokrywa się twardą rogowatą łuską Zwyczajnie po wsiach leczą kury w ten sposób, że pypeć zdzierają, t. j. obdzierają łuskę rogową, przyrośniętą do języka. Jest to niepotrzebnem dręczeniem kur, a nic nie pomaga; kura bowiem potem długo jeszcze jeść nie może, zanim jej się język nie zagoi. Łuska ta twarda czyli pypeć, sama schodzi z języka, gdy się przez jakiś czas daje kurom miękką paszę, nie ziarno, ale ziemniaki gotowane, kulki z dodadkiem słoniny lub trochę starego masła, a dziób obmywa się ciepłą wodą; przytem trzeba je trzymać ciepło i w spokoju.

Jak oczyścić meble od brudu po muchach, aby politury nie uszkodzić?

Bierze się 10 wielkich łyżek wody, którą się miesza z 1 łyżką wyskoku salamiakowego; następnie wziąwszy czysty miękki płat wełniany, zwilża go się tą mieszaniną i wyciera meble. Brud po muchach schodzi, politura nie ucierpi i dostanie połysku.

Jak usunąć rdzę z żelazka?

Ogrzewa się dobrze żelazko i smaruje go się białym woskiem. Przy prasowaniu odpada wosk a z nim również rdza. — To powtórzyć należy kilka razy i nareszcie wyciera się żelazko suchym płatem wełnianym, przez co przywraca mu się pierwotny połysk.

Jak topić tłuszcz gęsi, by otrzymć dobry smalec. Wszelki tłuszcz gęsi, a zwłaszcza tłuszcz z wnętrza brzusznego należy koniecznie przed stopieniem przynajmniej 24 godzin w zimnej wodzie moczyć, przez co usuwa się wszelki nieprzyjemny zapach. Dobrze jest dodać do tłuszczu gęsiego trochę słoniny wieprzowej, ponieważ sam smalec gęsi jest cienki i licho się zsiada. Po skrajaniu tłuszczu w kostki, topi się go na wolnym ogniu. Niektóre gospodynie dodają do topiącego się smalcu gęsiego trochę cebuli, inne wrzucają zaś jabłko, które atoli trzeba wyjąć po niejakimś czasie, gdyż jabłko nie powinno się w tłuszczu rozsmażyć, ale tylko zbrunatnić, przez co smalec otrzyma woń jabłkową. Topić zaś należy tak długo, aż skwarki są zupełnie miękkie, a wysmarzony smalec stanie się czystym i złoto-żółtym. Tak rozporządzony smalec można przez cały rok przechować.

Jak rozpoznać prawdziwość jedwabiu i płótna. Skoro gosposia wiejska z córką do sklepu bławatnego wejdzie, to wszystko w sklepie co tylko do ręki weźmie jest najprawdziwsze i najlepsze. Podajemy zatem dla przestrogi naszych czytelniczek, niektóre nieomylne znaki, po jakich może każdy poznać, czy jedwab lub płótno jest prawdziwe, dobre i trwałe. Z jedwabiu wyskubuje się kilka włókien w podłuż i w szerz, zaświeca się zapałkę i pali się włókienka. Jeśli jedwab jest czysty, to włókna palą się wolno i zapach spalenizny jest nieprzyjemny, jeśli zaś jedwab ma przymieszkę przędzy wełnianej, to włókienka wełniane palą się szybko, skwierkną i nie czuć spalenizny. Czyste prawdziwe płótno zaś poznaje się po tem, że zrobiwszy na płótnie plamę olejną, to ta plama przy czystem prawdziwem płótnie lnianym będzie przeźroczystą, a płótno z przymieszką bawełnianą będzie miało w plamie olejnej białe włókienka. Ma się rozumieć, że do próby należy użyć oliwy przeczyszczonej. Są to znaki niezawodne, na które zważając, zaoszczędzi gospodyni i na kabzie, bo towar nie prze-

płaci, a kupiwszy towar, ma taką pewność, że nie została oszukaną.

Znaczenie przeziębienia. Przez przeziębienie w obszernem tego słowa znaczeniu, rozumieć potrzeba nietylko nagłe działanie na organizm ludzki temperatury niskiej zimna i ciepła, w miejsce poprzednio działającej temperatury wyższej, jak to się zdarza n. p. przy wyjściu z dobrze ogrzanego mieszkania bez należytego okrycia w porze zimowej na ulicę, lecz również i zmoknięcie na deszczu, przemoczenie nóg, różne przeciągi i zawiania, wreszcie wypicie zimnego płynu (n. p. piwa) jeździe na kole i t. p.

Wszystkie te wyżej wymienione czynniki zdolne są wywołać zaziębienie, a w następstwie tegoż chorobę. Wiele też ludzi, za jedyną przyczynę swoich różnorodnych cierpień i chorób uważa przeziębienie w powyżej przytoczonem znaczeniu; zarówno zatem zapalenie płuc, opłucej, gardła i oskrzeli, jakoteż bóle reumatyczne i newralgie, choroby nerek i żołądka, szkarlatyna i odra i t. d., spowodowane zostają, według ich mniemania, wyłącznie przez przeziębienie.

Przyznać trzeba, że do niedawnych jeszcze czasów i medycyna w wielu chorobach, nie mogąc nigdzie przyczynę ich wyśledzić, za źródło tychże podawała przeziębienie. W miarę jednakowoż rozwoju wiedzy lekarskiej, a wszczególności w miarę tego, jak nauka o drobnoustrojach czyli bakteryologia coraz szersze kręgi w medycynie zataczać zaczęła, ogromna stosunkowo pierwotnie ilość chorób „z przeziębienia“, znacznemu uległa zmniejszeniu i wciąż maleje tak dalece, że obecnie żywić można niepłonną nadzieję, iż wreszcie z nauki — przeziębienie w znaczeniu na wstępie przytoczonem, jako bezpośrednia przyczyna chorób — zupełnie wykreślonem zostanie. Na razie jednak tak jeszcze nie jest, i w niektórych chorobach zmuszeni jesteśmy, przynajmniej do czasu nowych zdobyczy na polu bakteryologii, przyczyny ich szukać w przeziębieniu.

W innych natomiast przypadkach za bezpośrednią przyczyną choroby, już nie przeziębienie uważać należy, lecz przypisywać ją wpływowi bakteryi, które w czasie „przeziębienia się“, bądź w zupełnie zdrowym organizmie ludzkim już kwitły, bądź też do niego właśnie wtargnęły. Przeziębienie zatem dla człowieka nie jest szkodliwe przez samą swoją istotę, lecz dla tego, że przez działanie na organizm ludzki przygotowuje w nim glebę, na której bakteryę, już w ustroju będące, rosnąć i mnożyć się mogą, przygotowuje niejako grunt podatny, na którym przypadkowo osiadłe drobnoustroje mogą się dalej rozwijać.

Między przeziębieniem więc a drobnoustrojami, wywołującymi choroby, istnieje bardzo ścisły związek. Zdanie to stwierdzają w zupełności badania powietrza, wody i ziemi, oraz znajdujących się w nich drobnoustrojów, wykonane w rozmaitych miejscach i czasach.

OD REDAKCYI.

Zamiast obrazka, dołącza się do 11-go Numeru „Przodownicy“, ładną sztuczkę p. t. „Wóz Drzymały“.

OD ADMINISTRACYI.

Prosimy bardzo usilnie tych wszystkich, którzy przez rok cały korzystali z gazetki, a nie uiścili dotąd należnej prenumeraty, o przesłanie nam tejże jak najrychlej. Wierzymy, iż nie znajdzie się ani jedna czytelniczka i ani jeden czytelnik, któryby tego obowiązku nie spełnił.

Omyłki druku.

W Nr. 9 i 10, w przepisie o kwaszeniu kaputsy, strona II wkradła się gruba pomyłka zdaje się wskutek opuszczenia całego wiersza, a mianowicie:

Zamiast: po wierzchu soli się znów trochę, zresztą do całej beczki soli nie używając. Napisano: Po wierzchu soli się trochę, soli nie używając.

Zamiast obrazka dołącza się do Nr. 11 „Przodownicy“ ładną sztuczkę p. t.

WÓZ DRZYMAŁY

Obraz sceniczny, napisał Józef Rączkowski.

OSOBY:

WOJCIECH NIEDZIELA, starszy gospodarz
MAGDA, jego żona
JASIEK, 7-letni ich syn
HOLZER, recte Drewniak
WALENTY DUDZIK, gospodarz
KUNO, stary kolonista niemiecki
WOŹNY
KUBA, starszy chłopak wiejski
WID.

Rzecz dzieje się na wsi w Poznańskiem w roku 1907

SCENA:

Stodoła na gruncie Niedzieli; ściany równe, z gładkich zbite desek. Jedno skrzydło drzwi otwarte tak, że widać boisko, a na niem łóżko, stół i stołki. Na ścianie tylnej obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, przed którym pali się lampka, rzucając mdły czerwonawy odblask na wnętrze. Widocznie Niedziela mieszka w stodole

Oparty o jedno, przymknięte skrzydło wrót, siedzi na ławce Niedziela, chłop tęgi, silnie zbudowany, o twarzy szlachetnej, ozdobionej dużym wąsem, w ktorym już połyskują srebrne włosy. Obok na ławie leży czapka i laska — znać, że Niedziela wrócił do dom przed chwilą. Podparł głowę rękoma, oczy zapuścił w dal i — duma.

Obok niego, na progu stodoły-chaty, stoi jego żona, Magda, z tępym wyrazem rezygnacyi w załamanych rękach.

Popołudnie. Z poza chmur przegląda od czasu do czasu słońce. Nastrój jesienny. — Ponuro.

SCENA I.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA.

NIEDZIELA.

Ano, matka, nima rady...
Chołpy nima, gniozda nima,
a tu niezadugo zima...

NIEDZIELINA.

Trza bedzie chyba na dziady...
Ja to w moi babskij głowie
myśle, co juz tak być musi...
Bieda dusi, Prusok dusi,
a co przyńdzie — Pon Bóg to wié...
Trza i bedzie ulédz doli...

NIEDZIELA (*ponuro*).

Myślis, matka?
(*po chwili z mocą*)
A jakby nie?
A nie cujes, jak tu poli,
(*pokazuje na serce*)
tutoj we wnentrznościach poli,
jak tam cosi krzycy, woło,
jak sie tam cosi bontuje?!..

NIEDZIELINA.

Bo nos krzywdzom naokoło...
Ty to cujes, jo to cuje...
(*chwila milczenia*)
Pozwoleństwa ci nie dali?

NIEDZIELA.

A! Psiekrwie! Nie dali!

NIEDZIELINA.

Juści,
abo to Prusok popuści
jak sie uweźnie na cweka?!

NIEDZIELA.

A! Niechze jéch ogień spoli!

NIEDZIELINA.

Nie klnij, stary; gemby skoda,
a przecie na nic gódanie,
jak Pon Bóg renki nie poda.
Na cóz Boskie obrazanie?
Uwzieni sie ta i tylo —
niejedno nos jesce ceka —
et, Pon Bóg trafio, człowiek jéno strzélo...
Chwila milczenia

NIEDZIELA.

Pedzieli, co nimom prawa
stawiać chołpy na swy ziemi,
bo wysła tako ustawa,
co to na to nie pozwolo...

NIEDZIELINA.

Oj! niescęsno naso dolo!

NIEDZIELA *(opowiada dalej).*

Jo im tedy rzeke: kie mi
pozwoleństwa dać nie kcecie,
rzeknijciez mi: cemu za co?
— Boście Polok! — powiadajom.
Przecie żyje swojom pracą,
— pedom jém — pracuje scérze,
cegóz na mnie tak nastajom?
— Boście Polok! — znou swyse —
Słuchom, a juz ledwie dyse,
bo mie złoś za garło chyto.
— A cóz to?! Cy Polok zwiérze.
Cy na inkse stworzony kopyto,
jak Niémiec?! — krzyknąłem wściekły,
jaze Niémce préc uciekły...

NIEDZIELINA z *(wymówką).*

I — pocóześ jém to godoł?
Znowu ci śtrof płacić kożom!..

NIEDZIELA.

A niech kożom! Niech ta kożom!
Zapłace z pómocą Bożom,
ale na swojém postawie!
Dyć chołpę i tak mieć muse!
Abo to nie jezdem w prawie?

NIEDZIELINA.

Dyć-eś Polok!

NIEDZIELA.

Przecie duse
nie bede zmienioł jak koszule,
a dusy gemby nie stule!

NIEDZIELINA.

Cegóz oni od nos kcom?

NIEDZIELA.

Cego? A Bóg jéch wie som!

NIEDZIELINA.

Juści, bo tak przez racyi
zeby nos prześladowali...

NIEDZIELA.

Adyć włośnie przez racyi —
lotego jeno, ze my mali
i ze kajdany dźwigomy na syi. .

NIEDZIELINA.

Kto niby?

NIEDZIELA.

No, my — Polocy
Ze my sie jém zabrać dali,
to nos kcom zrobić Niémcami.

NIEDZIELINA.

Domy-z my se rady sami?

NIEDZIELA.

Ano — trza! Toć w Boski mocy
przysłość lezy — nie w nimiecki...
Pon Bóg wié o kozdy trowie,
zlicuł se wszyćkie gwiozdecki,
a o nos by nie pamientoł?
Niémiec nos ujarzmiuł, spentoł,
to Pon Bóg przyńdzie z pómocą.
Dyć my téz jego synowie!

NIEDZIELINA *(spostrzegając Holzera, który nadchodzi ku stodole).*

Cichoj! Holzer do nos idzie...

NIEDZIELA *(z niechęcią).*

Téz sie wlece, beskurcyjo,
Bóg wié naco, abo poco...

NIEDZIELINA.

Przypatrzéć sie nasy bidzie...

NIEDZIELA *(z odrazą).*

I, tako niemiecko żmijo...
(Spluwa)

(Niedzielina odchodzi do stodoły. Widać ją, jak myje garnki. Na scenie zostaje Niedziela).

SCENA II.

NIEDZIELA. HOLZER.

(Holzer jest mężczyzną około 30-letnim. Ubrany po miejsku, mówi po miejsku).

HOLZER *(wchodząc).*

Jak się macie, panie bracie?

NIEDZIELA *(z odrazą i niechęcią).*

Dyć jo ta nijaki pon,
ani brat! — Toć se ublizacie,
kiedy mi godocie: bracie.
Lo mnie dobry chłopski ston!

HOLZER *(jakby nie zważając na przymówkę).*

Wy tak ciągle bez siedziby?
Przydałby się wam też dom!...

NIEDZIELA.

Ano, dyć jo to wiém som!
Przydołby sie — bez pochyby —
ale cóz!...

HOLZER.

Nie pozwalają?

NIEDZIELA.

Juści cosi do mnie mają...

HOLZER.

Niby czemu?

NIEDZIELA *(z wzrastającym gniewem)*.

Adyć wicie!
Niepotrzebnie ocy śklicie
i tak sie wypytujecie,
jakby Pon Bóg nie wié o co!...
Abo sie wom ocy mrocą.
abo gupka udajecie!

HOLZER *(z łagodną wymówką)*.

Et, to wyście zawsze hardzi...
Z wami człek. szczery najbardziej,
nie może mówić uczciwie...
Moglibyście żyć szczęśliwie,
żeby tylko... *(urywa)*.

NIEDZIELA.

zeby... *(po chwili)* no co?!

HOLZER.

Żebyście się nie stawiali,
podali się za naszego,
a władze tam nie od tego,
wnet-by pozwolenie dali...

NIEDZIELA *(oburzony)*.

Idźże pon! Nie bres po próżnicy!
(wskazując ręką serce)
A tu, co tu, w piersi, krzycy,
to to nic?!

HOLZER *(z drwiącym uśmiechem)*.

To sie zagłuszy,
ja wam mówie z szczerej duszy...

NIEDZIELA *(robi znacząc ruch ręką)*.

I! — nadarmo to godanie!

HOLZER.

Czemu?

NIEDZIELA *(z siłą)*.

Bo to sie nie stanie,
bym jo sie za Niemca podoł!
Jagzebym jo z dziećmi godoł?!
Dyćbym se musiał skóre złupić
i niemieckom wdzioć na piersi!

HOLZER *(z szyderczym uśmiechem)*.

Dzisiaj wszystko można kupić,
nawet powłokę na piersi.
Mało to sie już zniemczyło?
I to z narodu ci — pierwsi...
Trudno! Trza sie zgiąć przed Siłą!

NIEDZIELA *(wolno, a dobitnie)*.

A jo godom — ze nie trzeba!

HOLZER *(j. w.)*.

Czekacie pomocy z nieba?

NIEDZIELA *(z powagą)*.

Pon sie ta nie śmiéj zawcasu,
nie wołej pon wilka z lasu!
Ano, jak bedzie potrzeba.
kto wié?!? Moze przydom nieba
z pómocom tym, co som przez Siły!

HOLZER *(j. w.)*.

Przyjdą, lecz już — na mogiły!...

NIEDZIELA.

Kto ta wié?! Świat ten sie krenci,
Pon Bóg los w rencach obraco,
dziś sie cwek śmieje, jutro smenci.
dziś mocny — jutro ladaco...

HOLZER.

To sie wam tylko tak gada...
Zadużo w s i e b i e macie wiary...

NIEDZIELA.

Ej, widzis pon, jo juz stary,
jednom nogom stoje w grobie,
to jo ta juz wiém, co robie
i na nic mi inkso rada.
Jo juz Polokiem umrzéć muse
buby sie mie wszyscy zmarli
Polocy ano — wyparli.
Jo se ta z dziada, pradziada
Polok — tak i skończyć muse!
Mie juz trudno zmiéniać duse...

HOLZER.

Oh, to znowu nie tak trudno...

NIEDZIELA *(z przekąsem)*.

Ejze?! Bo mie sie tak widzi,
ze to zawdy rzec paskudno,
zmiéniać chłopu swoje duse
i choćby nie było trudno,
to sie niom kozdy cwek brzydzi...

HOLZER.

Ale czasem — no — jak mus?!

NIEDZIELA.

Znać, zeście zmiénili juz!

HOLZER *(zimno)*.

Zmieniłem.

NIEDZIELA (*krewko*).

No, to gemby skoda!
bo jo pana nie przekonom,
ani pon mie! Gemby skoda!
(*odwraca się*).

HOLZER (*jakby się dziwił jego krewkości*).

A to w was fantazya młoda,
krew się w was gotuje, burzy...

NIEDZIELA (*z przekąsem*).

Bo mom polskom krew, cerwonom!
Panu sie ta juz nie burzy,
bo pon mos juz odmienionom!

HOLZER.

A widzicie — mnie to służy...

NIEDZIELA (*zniecierpliwiony*).

I, co godać, skoda gemby!
(*z odrazą*)
Naplułbym wom teroz w zemby!
(*spluwa i odwraca się od Holzera*).

HOLZER (*trochę zły*).

Wyście hardzi!

NIEDZIELA (*z przekąsem*).

Pon nie taki...
Pon ta lubiom krzyze giąć!...

HOLZER.

Nie tak ostro, bracie, sądź.
Czem Polacy dziś? Robaki!

NIEDZIELA (*odwracając się ku niemu groźnie, że aż Holzer zaczyna się cofać przed jego wzrokiem*).

E, mój panie, to zaduzo!
Ani jo ci brat, ni swat,
a nie ciérpie tych, co słuzą
Niémcu, bo on lo nos kat!
Idzze se pon, skądeś przysed,
a mie nie zawracej głowy!
Jo mom jesce rozum zdrowy...

HOLZER (*zgniewany*).

Z urodzenia jam ci blizkim,
lecz—mam rozum, a tyś — głupi!...

NIEDZIELA (*wściekły*).

Coze to? jesce na mnie z pyskiem,
taki, co go to za piniondze kupi,
ty na mnie z pyskiem, ze jo gupi?!
(*Przysuwa się coraz bliżej do ustępującego*)
Jo ci pokoze, judosowe plémie!
(*Sypiąc skrami oburzenia z oczu, daje renegatowi w twarz tak, że mu się aż krew z nosa puszcza*).

HOLZER (*odchodząc wściekły*).

Teraz ci wydrzem nawet twoją ziemię!
Już ja się postaram o to!

NIEDZIELA (*patrząc za nim, spluwa z odrazą*).

Préc! Niémiecko hołoto!
(*Siada na ławie. Z boiska wychodzi Niedzielina, która widziała poprzednie zajście*).

SCENA III.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA.

NIEDZIELINA (*załamując ręce*).

Jezus! Coś ty zrobiuł, stary?

NIEDZIELA.

Wyżynąłem préc psioduse,
bo mi juz dojod przez miary.

NIEDZIELINA (*z wymówką*).

A ze cie téz zawsze musi,
zawsze jakisi dyaboł skusi!

NIEDZIELA (*żywo podnosząc głowę*).

Rozumis?! Kcioł mi zniémcyć duse!
W pysk-em go rypnął, jaze sie krwiom
[zbrocuł!

NIEDZIELINA.

Pocóześ do niego skocuł?
Móg on se godać co kcioł,
a tyś ta swój rozum mioł.
Zamknom cie znou do dziury...
gospodarstwo sie marnuje...
Co sie cuje, to sie cuje,
nie zaroz trza z tém do góry!
(*zabiera się do rżnięcia sieczki dla bydła*).

NIEDZIELA.

Nie godoj;
(*po chwili*)
Stało sie ano...
Jušci tak w niebie pisano.
(*chwila milczenia*)
A dziecka jesce we szkole?

NIEDZIELINA (*rżnąc*).

Jušci wrócom niezadugo.

NIEDZIELA.

Boby trza bydło na pole...
Słonecko juz do snu mrugo...
(*Niedzielina idzie znowu na boisko. Nadchodzi Walenty Dudzik, stary chłop, nizki, krępy*).

SCENA IV.

NIEDZIELA. DUDZIK.

DUDZIK (*wchodząc*).

Pochwolony!

NIEDZIELA.

Na wiek wieków!

DUDZIK.

I cóz ta u wos, kumie, swychać

NIEDZIELA.

Ano — juz i trudno dychać,
taki ta juz tén los cweków.

DUDZIK.

Cóz z chołpom?

NIEDZIELA.

Ano — jak było...

DUDZIK (*ponuro*).

Trza sie bedzie zgiąć przed Siłą!

NIEDZIELA (*żywo*).

Cóz ta zaś?! To i wy téz?
Coze to? Na świenty krzyz,
to wos, Walanty, téz Niemce kupiły?!

DUDZIK.

Boże broń! — Ale, bo, kumie.
— jo ta godom, jak ta umie —
zeby strzymać — to trza Siły!

NIEDZIELA (*z przekonaniem*).

Juści! Juści! Potrza Siły!

DUDZIK.

A jak sie na wos uweznom?

NIEDZIELA.

Jo scezne, ale oni téz sceznom!

DUDZIK.

U nich Siła okrutecno...

NIEDZIELA.

Adyć Siła téz nie wiecno!

DUDZIK.

Jo to wiém! — Ale tak rzeke
bo inksy nie widze rady.

NIEDZIELA.

Ano jo sie jém ta nie dom!

DUDZIK.

Jo przecie dusy téz nie przedom,
nie dopusce sie śkarady...
Dej nom, Boże, strzymać ino!

NIEDZIELA.

W Bogu nadzieja jedyno!..

DUDZIK (*jakby sumując myśli*).

... Bo to zawsze — Niemce obce,
i wiary téz nie som nasy...
dyć jo wiém, ze to markotno,
ze to takie wszyćko obce...
ale dzisioj takie casy...

(*Na scenę wbiega chuderlawy, mały chłopczyna, syn Niedzieli, Jasiek, z książkami w ręce. Płacze biedak i zawodzi okropnie. Na krzyk jego wychodzi i matka z boiska*).

SCENA V.

NIEDZIELA. DUDZIK. JASIEK. NIEDZIELINA.

NIEDZIELA (*do Jaśka*).

A cegoz ty becys, chłopce?

JASIEK (*płacząc, rzuca książki na ziemię i mówi wśród łez*).

Rany Boskie! Jej! Tatulu!
Bijcie mie, zabijcie ano,
jo do szkoły juz nie póde!

NIEDZIELINA (*przypatrując mu się, załamuje ręce*).

Ci gembine mo zrysaną!

JASIEK (*płacząc*).

Juz ledwie strzymom od bólu...

NIEDZIELINA (*oglądając mu ręce*).

Bidok i te rence chude
mo skrwawione.

NIEDZIELA.

Skądze ci to?

JASIEK.

To we szkole! O jej, piece,
wszyćko mie boli, tatulu!

DUDZIK (*do siebie*).

Juz mi cosi we łbie świto...

NIEDZIELA (*zniecierpliwiony*).

A godojze roz, człowiece!

JASIEK (*ze łzami w oczach*).

Ojej! Ledwiem dosed do dom! (*płacze*).

NIEDZIELA (*do żony*).

Omyjze mu gembe wodom,
matka! Swysys? Juz sie stało!

(*Niedzielina odchodzi, wraca z wodą i obmywa chłopczynie twarz i ręce*).

No, a teraz godoj śmiało,
toć cie krzywdzić nie dozwole!
Cóz ta takie było w szkole?

JASIEK (*Jasiek mówi głosem, przerywanym od czasu do czasu łkaniem*).

Naucyciel przysed zły
i zaroz zacon wydziwiać.
Kozoł nom „Wachtamra“ śpiéwać,
a ze my tego nie znali
ani krzty,
no to my nie śpiéwali...
Ano, zacon naprzód klonć,
pedoł, ze my som Prusocy,
nie Polocy,
ze „Wachtamro“
kozdy znać mo,
a potém chyciuł lenije
i zacon nos rnonć!
Krzycoł cięgiem: A wy żmije,
„Hunsblut“ i cosi ta jesce,
proł po plecach, jak po desce...
Mie po gembie lenjom prasnął.
Bolało – ano tom wrzasnął,
wtedy mie chyciuł za renke
i proł!
Dobrze ze mie i nie dobiuł!

(*płacze z cicha*).

NIEDZIELA (*z wściekłym gniewem oburzenia w głosie*).

Jak on śmioł?!

(*bierze czapkę, jakby chciał iść*)

Nauce jo beskurcyjom!

DUDZIK (*zatrzymując go*).

I cózby mu tam kum zrobiuł?

NIEDZIELINA.

Na co bestyji léź w pascenke...

NIEDZIELA (*z siłą*).

A za co mi dzieci bijom!?
Psubraty! Herodowe syny!...

NIEDZIELINA.

Juśći – dzieci som przez winy...

JASIEK (*opowiada dalej*).

Kozoł nom pocierz zmówić. Ano,
to my zacéli: Ojce nas, któryś jes...
A on jak skocy, jak ten pies
i „Vateruns“ jak krzyknie!!?!

DUDZIK (*kiwa głową i mówi do siebie*).

A to on wos ucy piknie...

JASIEK.

I znou nos proł lenijom,
a z gemby jaz tocuł pianą.
O Jezusie!
Ojej! Jaz mie w plecach strzyko!...

(*płacze*).

NIEDZIELINA.

Za cóz ze nom dzieci bijom?!

JASIEK.

I pedzioł, ze nom mamusie
do hareśtu pozamyko,
ze nos po polsku ucyły pociérza,
ze my to — pedoł — Niémcy, nie Polocy

NIEDZIELA (*z mocą*).

Nigdy! Nigdy! Wy Polacy!
Wyście p o l s k i c h chłopów syny
i p o l s k o m krwiom wykormieni!
A ze my w niémiecki mocy —
to przejdzie!... I los sie zmiéni,
bo Bóg krzywdy nie przebocy!
Choć od bicio pysk mos siny,
aleś Polok! Pamientej se!
Nie znos inksego pociérza
ino polski! I nie dej-se
wydrzèć go, dopokiél życio!...

NIEDZIELINA (*głaszcząc malca po twarzy*).

Spuch cały od tego bicio!...

DUDZIK (*nawpół do siebie*).

Téz naucyciel posoka!...

NIEDZIELINA.

On gorsy od tego zwiérza...

DUDZIK.

A dyć na to trzaby smoka,
zeby téz tak dzieci prać!

NIEDZIELINA (*nagle*).

I, bo to tak:
Mój sie jém nijak nie kce dać...

NIEDZIELA (*żywo*).

Coz mom robić?! Godoj! Jak?

DUDZIK.

Skond mo chłopok umieć po niémiecku,
kiedy on jes Polok przecie...

NIEDZIELINA.

Wy tém cięgiem wojujecie,
a oni sie mscom na dziecku!

DUDZIK.

Bo téz to taki naród smocy!...

JASIEK (*uspokoiwszy się już*).

Was Stasek jaz we krwi brocy,
tak go lenijom sproł po łapie!

DUDZIK (*zrywając się*).

Mojego Staska téz?

JASIEK.

A ino,
dyć nos przecie wszyćkich bili...

NIEDZIELINA.

Juz Niémiec z dziećmi zacyno...

NIEDZIELA (*jakby powziął postanowienie*).

A póde! A jak go złapie,
to mu pogruchotom kości!...

NIEDZIELINA.

A dejze pokój! W tej chwili
nie pódzies! Teroześ w złości,
jescebyś go zabiuł moze!...

DUDZIK.

Juści, kumie, to ta nie pómoze...
(*Niedzielina z Jaśkiem odchodzi*).

SCENA VI.

NIEDZIELA. DUDZIK.

DUDZIK.

Tuby pomyśleć sie zdało,
jakby zaradzić tej biédzie,
zeby jakosi wyjś cało...
bo to coroz gorzy idzie...

NIEDZIELA (*zły*).

Ano — rodźcie!

DUDZIK.

Sukom rady...

NIEDZIELA.

Mocie łeb nie od parady,
to rodźcie!...

DUDZIK (*rozbierając każde słowo*).

Na niémieckom wiare
przejś, na nase lata stare,
to jakoi nie!...

NIEDZIELA (*żywo*)

A juści!
Chłop swéj wiary nie opuści
i chłopem ostanie zowdy,
jakiém go rodziła matka...

DUDZIK.

Myśle — myśle do ostatka...
Zniémcyć sie? — Ano, doprowdy,
to juz inksy rady nima...

NIEDZIELA (*z mocą*).

A jes inkso: tako próba:
Nie schylać zawcasu cuba,
a próbować: kto dłuzy wytrzyma!...
Jo sie ta nie dom! Bo nie dom!

DUDZIK (*powoli*).

Krzywdzić — to oni wszyćkich bedom,
bez przestanku bedom, wciąz,
bo to Prusok, beskurcyjo,
kieby jadowito żmijo
owinie sie wkole ciebie
i bedzie cycoł, nikiej wąz...

NIEDZIELA.

Ano — (*z siłą*) to sie som pogrzebie!
Bedzie cycoł — to sie struje!

DUDZIK.

Tak godocie?

NIEDZIELA.

Jo tak cuje!
Nos wydała polsko ziémia,
my żyjémy z ziémiom tom,
bo my z niom zrośnienci som!
Ona polsko — my Polocy,
choć my som w nimiecki mocy.
Lo nos ta ziémia ojcyzną,
lo Niémców ona trucizną.
Choć jom majom pod swom nogom,
strowić je przecie ni mogom
i jaz nase dzieci bijom,
ze one dusom nasy ziémi żyjom.
W nos som téj ziémi soki
i niémi się Niémcy strujom!
Hoho! Niémcy to to cujom!
A kraj wielgi i séroki!...

DUDZIK (*rozważywszy, machnął po chwili ręką*).

Juści! Trza sie zdać na boskie wyroki!
Widać nos Pon Bóg teraz drency,
by my sie stali Polokami wiency,
to nos téz teroz smogo bicem srogiém...
(*po chwili*) Bywajcie zdrowi!

NIEDZIELA.

Idźcie z Paném Bogiém!
(*Niedziela siada zmęczony na ławie. Z boiska wychodzi Niedzielina, obmywając maślnicę*).

SCENA VII.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA.
Przez chwilę milczą oboje.

NIEDZIELA.

Dzie Jasiek?

NIEDZIELINA (*nie odrywając się od pracy*)

Posed na pole
z krowami.

NIEDZIELA.

A Walek?

NIEDZIELINA.

Jesce we szkole...

NIEDZIELA.

A dyć wiecór juz nad nami,
słonecko juz prawie gaśnie...
A cóz on robi we szkole
do téj chwili?..

NIEDZIELINA.

Ano, straśnie
jéch trzymajom. A — któz ta wie?...
Jak kozali — siedzieć musi,
a dyć on sie ta nie bawi...
(*chwila milczenia*).

NIEDZIELA.

Jakosi mnie w garle dusi...
Nimos, matka, mléka dzie?

NIEDZIELINA.

Zaroz ci przyniese...
(*Zostawia maślnicę, idzie na boisko i wraca z garnkiem mleka*)
Ne...
(*Niedziela napił się mleka, oddał garnek żonie. Niedzielina, odniósłszy go na boisko, wraca i dalej czyści maślnicę*).

NIEDZIELA.

Takim dzisioj roztrzensiony,
ze mi sie ani robić nie kce,
ani lezeć ani spać...
jenobym mioł ochote prać,
gruchotać tak, a wesoło!
ze mie tak krzywdzom naokoło!..
(*Chwila milczenia*)
Ale — nie jo jeden krzywdzony!

NIEDZIELINA.

Jo juz nie wiém, co to bedzie...
A! Dziéjze sie Bosko wola!
Ni to cwek chołpy, ni pola,
gorzy, jakby na haréndzie...

NIEDZIELA (*jakby sam do siebie*).

Ze téz to Pon Bóg tak ciérpi, —
jak oni nos krzywdzom wszéndzie...
Ze téz jesce na to bocy
i nie skorze tych siepocy
jeno jéch tak cięgiem ciérpi!...

NIEDZIELINA.

To ta juz sprawa nie nasa...
Pon Bóg se ta wi, jak rządzić...
Nie nasa rzec o tém sądzić,
jeno Jemu słuzyć wiernie!.
(*Chwilę milczy, potem, spostrzegszy kogoś:*)
...ktosi tu idzie z pod lasa...

NIEDZIELA.

Do nos?

NIEDZIELINA (*wyglądając*).

Ano — tak, bez ściernie
ku nom idzie — to tèn siwy
Niemiec, Kuno, kolonista...

NIEDZIELA.

Swychać, ze to cwek ućciwy...
Nie wiém, cy to prawda cysto,
ale go wole, jak tego — Drewnioka.
Co sie Holzerem zrobiuł juz — posoka!

NIEDZIELINA.

Dyć Kuno godo i nasym jenzykiem..

NIEDZIELA.

Ano — godo i rozumi...
I — żyje z nami, po nasému umi,
ale to nie przez racyi, pewnikiem!
(*Wchodzi Kuno, stary Niemiec z siwą brodą, z fajką w ustach*).

SCENA VIII.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA. KUNO.

KUNO (*mówi gwarą chłopsko-mieszczańską, na ogół bardzo poprawnie*).

Cóż swychać u wos, Niedziela?

NIEDZIELA.

Po starému — jak ta u Niedzieli...

NIEDZIELINA.

Witejcie! stołek wom przystawie!...
(*Odchodzi i przynosi ławkę, poczem wraca na boisko*).

NIEDZIELA.

Do chołpy wos ta nie prose,
bo ji ni mom. Siądźcie se na ławie...

KUNO (*siada, pali fajkę*).
Nie widziołem wos, czasu wiela...
Aleście sie postarzeli...

NIEDZIELA (*siadając*).
Starzeje sie cwek potrose...
juści — cwek mo na łbie tela...

KUNO.
I wy tak ciągiem w stodole?

NIEDZIELA.
Ano — cóz mom robić, Boże?!

KUNO.
A ciągiem trwocie w uporze....

NIEDZIELA.
To nie jo trwom, jeno oni...

KUNO.
Co za oni?

NIEDZIELA.
No — ci — oni...

KUNO.
Wiecie, że jo Poloków dobrze znom —
robiłem z niemi interesa som,
poznołem waszom ślachte, pany,
poznołem i niskie stany,
i mie sie zdaje, że to szkoda trudu.
Upór wom nic nie pómoże —
przecie rząd silny, wy — słabi...
Chce wos zagrabić — no to wos zagrabi...

NIEDZIELA.
Ale nas noród sie broni!...

KUNO.
I — dużo wos?

NIEDZIELA.
Sporo ludu...

KUNO.
Tuby chyba trzeba cudu,
żebyście wy wytrzymali.
Rząd mocny, a wyście mali...
To wy se nie docie rady
ze rządem, nie, nigdy...

NIEDZIELA (*chcąc mu przerwać*).
Ady...

KUNO (*mówi dalej*).
Jo wos nawet nie pojmuje...
Tak z wiérzchu — to z wos mortwo bryła,
a na spodzie to sie w wos gotuje!
Jo bo nie wiem, co wos trzyma...
My, Niemcy, my dziś w potędze,
a wyście sie wzieli do olbrzyma.
A cóż wy mocie? Nędze!
Rząd wos gniecie — ta i zgniecie,
jak sie do chłopów jesce zabierze.
Przecie jo wom mówie scérze...

NIEDZIELA.
Hm! ale wy to cujecie,
ze w nos jeszcze zawsze Siła!
Jest siła w chłopskiéj siermiędze!
I dopokiél starcy chłopa,
potyl Polska bedzie żyła!

KUNO.
Oderwany snop od snopa,
to nie straśno cało kopa...

NIEDZIELA.
Tak godocie? No to cému,
tageście sie do nos wzieni,
kiedy sie nos nie boicie?

KUNO.
Bo rząd zawsze chwasty pleni...

NIEDZIELA.
Ej, nie! W nos musi być życie,
i to takie tengie życie,
kiedy jezd straśne jaz państwu całému....

KUNO (*powoli*).
Może być — ale nie rozumie, czemu?

NIEDZIELA.
Wy tego nie rozumicie?
Hm! Jezd w nasy ziémi cosi,
co kozdego tak podnosi,
co koze kochać te ziémie i cénić.
Toć wyście sami musieli sie zmiénić:
i po nasému godocie,
Orzecie z nami te ziémie nasom,
ozdobionom takom krasom,
No — i kochać jom musicie,
chociazeście różni rasom.
No i cému sie dziwicie,
ze Polok swy ziémi nie do
i nigdy sie ji nie zaprze?
To Ziémia włośnie nos trzymo,
a my sie trzymomy ziémi
i lotego my straśnymi
som, bo nik ty siły nimo!

KUNO.
Wy już dziś walczycie z biédom,
siły wasze coraz słabsze...

NIEDZIELA.

E -- chłopy ta zawsze bedom
silne. — Jo bez chołupy,
nimom dzie siedzieć, ani spać,
a przecie sie nie myśle dać.
A zbiercie nos tak do kupy!
Byłoby komu prać!

KUNO.

A wy – widze – prać lubicie...
Pobiliście dziś Holzera...

NIEDZIELA.

Jo wyrnąłem w pysk Drewnioka,
za to, nasom wiarom poniewiero
i ze on, Drewniok, mo duse Holzera.
(*z odrazą*)
Drewniok ni Holzer — ot tako posoka!
(*spluwa z niechęcią*).

KUNO.

Zaskarżuł wos u sołtysa...

NIEDZIELA.

A — niech ta skarzy do biésa...

KUNO.

Pódziecie znou do dziury...

NIEDZIELA.

Przynomni bede siedzioł w domu,
a dziś — to muse w stodole.
Adyć hareśtanckie mury
téz som chołpom! Jak ta komu!
Jo — bo juści — harést wole
jak nic — a nimom domu.

KUNO.

No, Niedziela, wyście czwek ućciwy,
jo wos lubie — i mówie wom szczerze:
Na co rząd mo być na wos krzywy?
Ostońcie przy swoji wierze,
zmieńcie ino język i nazwisko
i skończone bedzie wszystko.

NIEDZIELA (*powoli*).

Hm! Wyście Niemiec, to sie wom nie [dziwie,
ze wy tak do mnie godocie.
Wyście Niémiec — moze słuśnie mecie,
ale jo —
na zoden sposób ni moge!

KUNO.

Moglibyście żyć szczęśliwie,
moglibyście żyć spokojnie...

NIEDZIELA.

Jo widać — muse we wojnie.
Takom mi Bóg znacuł droge.
jo inacy pójś nimoge,
tak mi cosi w dusy gro...
Dyć wyście téz tu kupili pole,
sprowadziliście sie z daleka,
a nazywocie sie, jak przódzi.
Na cóz jo mom robić inksego człowieka
ze siebie, a z moich dzieci,
z takich cysto polskich kmieci
niémieckich porobić ludzi?
Wy mocie pole — no i jo mom pole,
wy mocie chołpe — jo muse w stodole,
Widno mi sie krzywda dzieje.
Ano — jak tak, to jo w o j n e wole!

KUNO.

Z rządem?

NIEDZIELA.

Choćby!

KUNO.

Nie strzymacie!

NIEDZIELA.

Kto dołki kopie, ten casem lo siebie,
téz dołek grzebie!
Ostanom ziémioki, choć wydrzecie nacie!
(*Wchodzi woźny w urzędowem ubraniu*)

SCENA IX.

KUNO. NIEDZIELA. WOŹNY.

WOŹNY.

Herr Sonntag?

NIEDZIELA (*patrząc nań*).

Cegóz on kce?

WOŹNY.

Hier wohnt Herr Sonntag?

NIEDZIELA.

Nie!

WOŹNY.

Wo wohnt er also? gdzie?

NIEDZIELA.

Niby kto?

WOŹNY.

Sonntag!

NIEDZIELA.

Zoden taki!

WOŹNY.

A mnie sie zdaje, że to wy!

NIEDZIELA.

Jo jezdem Wojciech Niedziela.

WOŹNY.

Byliście nim!

NIEDZIELA.

Jo zawsze jednaki!
Minęło roków tela,
hoho, śterdzieści i trzy,
Niedziela był zawsze Niedziela
i nie zmieniuł sie, ani krzty!

WOŹNY.

A! — Uparte te Polaki!
To ja wam mówię, że Sonntag to — wy!
Macie pismo z urzendu. Pilne jes.

NIEDZIELA.

A cóz ta znou za bies?!
Przeciezem rano był w urzendzie...
Cóz ta znou nowego bendzie?
(*Bierze pismo*).
Po niemiecku?!
(*Oddaje je Kunowi*).
Cytejcie no,
Cegóz oni znou kcom?

KUNO (*przeglądając pismo*).

Ano — znou o tén dom...

NIEDZIELA.

Nie dadzom stawiać — to pedzieli rano,
cóz jéch ta tak prendko wzieno,
ze znou pisom? he?

KUNO (*patrząc ciągle na pismo*).

Ano — źle!
Oto z urzendu rozkazano,
byście sie zaroz ze stodoły
wynieśli.

NIEDZIELA.

Adyć chołpy nimom!
Siedze w stodole przed zimom,
ale w zimie nie wytrzymom!
A kąt jakisi mieć muse!
bo zdać sie na bożom wolom...

KUNO.

Trudno! W przeciągu trzech dni
musicie opuścić stodołe!

NIEDZIELA.

No — i dziés sie wtedy ruse?
W stajni siedzieć nie pozwolom,
bo juz zabronili mi,
a pola juz lezom gołe...

KUNO.

A widzicie! Upór nie pomoże!
Trza sie poddać!
(*Niedzielina która, stojąc na progu, słyszała wszystko, wysuwa się naprzód*).

SCENA X.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA. KUNO. WOŹNY.

NIEDZIELINA.

Boże! Boże!
To nos wyrzucom ze stodoły?

KUNO.

Tu już inny nima rady!...
— O! nasz rząd każdego zmoże! —
A wy pójdziecie na dziady!
Tu nie pomoże nawet i som Bóg...!

NIEDZIELA (*wściekły z gniewu*).

A! Judose! Wściekłe gady!
(*Kuno i woźny odchodą rozmawiając*).

KUNO (*odchodząc*).

Na! Jetzt hat er schon genug!

Woźny (*coś mu odpowiada, ale głos jego cichnie poza sceną*).

SCENA XI.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA.

NIEDZIELINA.

Kcom nos widać zmódz przemocom;

NIEDZIELA (*chwilę milczy, poczem z determinacyą, zaciskając pięści*).

A nie dom sie! Niech obocom,
ze to z polskiém chłopém rzec!

NIEDZIELINA.

A cóz ty jém zrobis? no co?

NIEDZIELA (*stygnąc*).

Co? — to jesce nie wiém som!

NIEDZIELINA (*z energią*).

Tu trza radzić! Trza sie strzédz!

NIEDZIELA (*nagle*).

Juz jo se ta rady dom!
(*Chwila milczenia*).
(*Przed stodołę przybiega starszy chłopak wiejski, z książkami w ręku*).
(*Sciemnia się*).

SCENA XII.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA. KUBA.

KUBA (*zatrzymując się*).

Wasego Walka zatrzymali w kozie!

NIEDZIELINA.

Za co znou?

KUBA.

Nauczyciel pedzioł,
ze za ojca bedzie siedzioł,
ze to niby Wojciech pobili Holzera

NIEDZIELINA (*do męża*).

Swysys, Wojtek?

NIEDZIELA (*powstając, rzuca rękoma*).

A niech jéch cholera!

KUBA.

Pedzioł dali, ze wos na powrozie
powiesom, a on w dziurze zgnije,
ze to koniecnie Polokiem być kcecie,
ze wy musicie być Sontag z Niedzieli.
(*składa ręce jakby ze współczucia i grozy*).
a wrypoł téz Walkowi za Holzera kije!...

NIEDZIELINA.

Ciebie puściuł?

KUBA.

Uciékem. Zaśbyta...

NIEDZIELINA.

A Walek?

KUBA.

On siedzi w kómorze,
a to klitka desckami zabita...
Jo uciék, ale on nié może...
Bądźcie zdrowi!

NIEDZIELINA.

Idźże z Bogiem Kuba!...
(*Kuba odchodzi*).

SCENA XIII.

NIEDZIELA. NIEDZIELINA.
(*Ściemnia się coraz bardziej*).

NIEDZIELINA (*chwytając się za głowę*).

Jaze mi krew rnie do cuba...
(*Milczy chwilę, wreszcie odzywa się do męża*).
Wojtek!
(*Niedziela milczy*).
Wojtek!
(*Niedziela milczy*).
A ozwijsie przecie!

NIEDZIELA (*nie podnosząc głowy, którą ukrył w dłoniach*).

Wiém, co godać bedzies, matka...

NIEDZIELINA.

Jo wiém, ze nos wszyćko gniecie,
ale juści — trza cosi planować...

NIEDZIELA (*nie podnosząc głowy*).

Trza sie bronić do ostatka!

NIEDZIELINA.

W stodole nikiej zimować...

NIEDZIELA (*podnosi głowę, z mocą*).

Trza sie bronić! Swysys, matka!?

NIEDZIELINA.

Pozwoléństwa ci nie dadzom...

NIEDZIELA.

Juści — nie dadzom pewnikiem..

NIEDZIELINA.

To sie nic nie zrobi krzykiem...

NIEDZIELA (*zniecierpliwiony*).

Juz ta baby niech nie radzom —
od tego jes chłopski łeb,
a jo téz nie jestem kiep...

NIEDZIELINA.

A jak nom ziemie odbierom?

NIEDZIELA.

Jesce cego? Dyć som prawa!

NIEDZIELINA.

A dyć w prawach ta ustawa,
co ci chałpy nie do stawiać...
Jo ci powiém prowde scerom...

NIEDZIELA.

Cichojze, matka! Nie pora rozprawiać...
To bedzie, co Bóg przeznacy
i nié moze być inacy!...

NIEDZIELINA.

Juści ze tak... Ale radzić trza...
Mos jakom rade, abo nie...

NIEDZIELA (*ponuro*).

Nimom rady...

NIEDZIELINA (*z rezygnacyą*).

no, to bedzie źle...

NIEDZIELA.

Bóg w swoich ręcach przysłoś ma!

(*Chwila milczenia. Niedzielina stoi bezradna, wreszcie składa ręce, wznosi głowę ku niebu i zaczyna się modlić*).

Przenojświéntszo Panienko!
spoźryj ze na nos litościwie!
Tyś była pod bożom męką,
Ty wiés, co ciérpieć straśliwie.
Ze my som twoi poddani —
musémy siedzieć w stodole...
dzieci nom katujom w szkole...
Zlituj sie niebiesko pani,
ulituj Ty sie nad nami
i nad dzieckami nasémi,
zeby choć oné na swoji ziémi
nie były niewolnikami!...
(*żegna się i powoli odchodzi*).

SCENA XIV.

NIEDZIELA (*siedzi na ławie, pogrążony w myślach. Po chwili*).

Juz mi sie wszyćko miéso w głowie...

— — — — — — — — — — —

Poddać sie? . . . .
(*chwila milczenia*).
A moze i lepi...
(*nagle*).
ale cosi we mnie krzycy
i godo w przedziwnéj mowie,
ze my ano męcennicy
i ze sie nasom mękom skrzepi
to wszyćko, co było niemocne,
to wszyćko, co było zgniłe...
(*chwila milczenia*).
Snujom mi się po łbie ćmy mrocne...
zniémcyć sie? . . . .
(*z mocą*)
A toć cuje siłe,
ze i Polakiem moge być!
(*Wstaje z ławy, wyprostowuje się dumnie*).
a nie dom sie!
choćby mi przysło w dziurze zgnić!
Bo jo tak kce!
Jezd we mnie tako wola,
chociazem jéno kmieć
na małym kawołku pola,
jest we mnie tako — *pańsko* wola,
ze jo — chłop — to jo moge kcieć
i ze jo moge być!
ze jo moge jak kce żyć,
a dusy swoji nie przedom!
I nie dom sie! Bo sie nie dom!
(*Po chwili milczenia siada na ławie*).

SCENA XV.

NIEDZIELA. WID.

(*Na scenie Mrok, z którego wyłania się powoli wid Bartosza Głowackiego, z kosą w ręku. Wid przystępuje do Niedzieli i bierze go za ramię. Niedziela, czując, że go ktoś dotknął, podnosi oczy i wstaje, nie mogąc opanować wzruszenia*).

NIEDZIELA.

Czary, cy mi sie widzi ino...
We łbie mi sie ćmić zacyno...

WID.

Nie poznajes-ze mie, stary?

NIEDZIELA.

...Ale mi téz we łbie świscy!...

WID.

Nie poznajes-ze mie, stary?
Adyć my se równi, blizcy...

NIEDZIELA.

..Juści chyba musi — cary...

WID.

To nie cary! To jo — Som!
Ty mie znos i jo cie znom!
Spomnij no se Racławice,
Spomnij chłopskiéj Siły znak!

NIEDZIELA (*z uniesieniem*).

Jezus! To Głowacki!?

WID.

Tak!

NIEDZIELA.

O przenojświentszo Panienko!
(*Rzuca mu się do nóg*).

WID.

Dyć przedemnom sie nie klenko!
Wstoń!
(*podnosi go*)
W dusy ci rozświce!
Przysed-em ano z wiecora,
bo wiem, ze cie dola nęko...

NIEDZIELA.

Miołem cie na myśli wcora,
bo se nié moge dać rady...
a dusa jez casém choro...

WID.

Przysedem ano na zwiady,
zeby ci być za doktora,
zebyś ty sie nie doł zgiąć!
Spomnij-no se Racławice!...
Dymu kurzawa naokoło,
trupy sie walom, jak trowa,
ognia jaśnionce łyskowice,
a kozdo śmierć w sobie chowa...
Kościusko wdzioł copke z piórem,
nasunął jom se na coło,
krzyknął: Chłopy! Harmaty mi wziąć!
I w z i e l i m y! Dwanoście jéch, śnurém,
bez te jéno copke z piórém...
Bo my je musieli wziąć!
Bo my-to dusa narodu,
to my musémy iś cięgiem do przodu!...
Cujes ty w sobie te siłe?!

NIEDZIELA.

Takom cuje pańskom wole,
ze sie poddać nicému nie zdole!

WID.

Takom Piastowskiéj krwie żyłe...
Przecie my som noród k m i e c i,
to my som króleskie dzieci
i króleskom momy siłe!
I nie domy sie nikomu,
choćby nom smierć stoła w dródze!
A w téj chłopskiéj Siły strudze,
pijom niksi na otuche,
ci, co majom duse suche...
To my sie ni mozemy dać!
Siła Ojcyzny — to ta kmieco brać!

NIEDZIELA.

Jo to cuje, jo to w dusy nose,
i jo sie nie myśle dać,
a o łaske nie poprose!
Tokom cuje pańskom wole!

WID.

Korona była na chłopskiém cole!

NIEDZIELA (*ponuro*).

Ale dzisioj ciężkom momy dole...
Musémy siedzieć w stodole...

WID.

Nie musis! To ci godom jo!
Nie kcom ci dać stawiać chaty
na ziemi, postow jom inacy!

NIEDZIELA (*żywo*).

A jakoze sie to do?
Nie pozwolom te psubraty!

WID.

Aboświa to jacy tacy,
byświa se nie dali rady?
Patrz!

(Wskazuje ręką na ścianę stodoły, na której ukazuje się widmo wozu Drzymały, na około którego stoją kosynierzy).

Nie chołpa, a twardso od skały,
Niémce se na tém zemby połomały!
Patrz!

NIEDZIELA (*zdumiony*).

A cóz to?

WID.

Wóz Drzymały!

NIEDZIELA.

A dyć widze zamieszkały...

WID.

Bo to widzis, chłopa, bracie,
wóz chołpa! Arka Noego,
co poprzez wszyćko przepłynie,
co napotko to rozwali,
nie ulęknie sie nicego,
i nie zginie!
Tako chołpa — to zomek ze stali,
a lo Niémców strach!
Pod wozem chłop nie zmieniuł dusy
to ji nie zmieni juz na wozie,
ten wóz mocniejsy, jak stalowy gmach!
Stawioj se chołpe na wozie!

NIEDZIELA.

To go juz Niémiec nie rusy?!

WID.

Patrz! Tego wozu strzegom kosynierzy!
Bo tén wóz, to Arka nowo,
w której sio chłopsko Siła chowo.
W tym wozie żyje nasa c h ł o p s k o Siła,
a siła to jaz okropa!
i dopokil starcy chłopa,
potyl Polska bedzie żyła!

(Wid znika w ciemności. Obraz wozu blaknie. Ciemno. Niedziela, jakby nabrał otuchy, pewny siły, zaciska pięść, i machnąwszy ręką).

NIEDZIELA.

No, to jesce s t a r c y chłopa!

KONIEC.

Odpowiedzialna redaktorka i wydawczyni: Marya Siedlecka w Krakowie. — Druk A. Rippera w Krakowie.

Dodatek do Nru 11 „Przodownicy“ z roku 1907.

Obrazy z dalekich światów.

Dalsze odkrycia Kolumba. Smutne Boże Narodzenie. Przyjaźń z królami dzikich plemion. Powrót do Starego Świata.

Kolumb odkrył następnie wyspy, stanowiące dziś małe Antylle, a między temi największą i najpiękniejszą wyspę Haiti. Ogromne skaliste góry pokrywały ją, wynurzające się jakby z morza zieloności, rosnących u ich stóp lasów. W zatoce takie mnóstwo ryb pływało, że igrając, wskakiwały same do łodzi. W lasach nocami śpiewały ptaszki, a ich śpiew przypominał śpiew słowików najrozkoszniejszych gajów ojczystych, cała zresztą okolica przypominała tak żeglarzom porzuconą Hiszpanię, iż Kolumb nazwał tę uroczą wyspę Hispaniolą. Tam to — na wzgórzu, u wejścia do zatoki, zatknął pierwszy krzyż. Kilku majtków, błąkając się po okolicy, spotkało gromadkę krajowców, którzy na ich widok uciekli. Goniąc za nimi, zatrzymali oni ładną młodą kobietę. Była ona zupełnie naga, lecz natomiast miała w nozdrzach złotą obrączkę, na szyi w pośród muszli i kamyków, lśniło się także żółtym, czarującym a złowrogim blaskiem wszechpotężne złoto.

Zaprowadzono ją do admirała, który przyjął ją łaskawie, obdarował szklanemi paciorkami, obrączkami miedzianemi, dzwonkami i wielu innemi drobiazgami mającemi u dzikich wysoką wartość, a potem kazał odprowadzić do jej wsi. W parę dni, idąc kilka mil tym pięknym krajem, w dolinie nad rzeką odkryli wieś, liczącą około tysiąca chat, ale pustą. Mieszkańcy spostrzegłszy ich, uszli w lasy. Puścił się za nimi młody Indyanin, który przez jakiś czas pozostając w służbie u Kolumba, nauczył się był nieco po hiszpańsku i służył za tłómacza; ten zapewnił dzikich, że przybysze są łaskawi i wspaniałe dary dają.

Wkrótce wyspiarze poczęli tłumnie powracać do wsi z ufnością tak, że zebrało ich się około dwóch tysięcy. Podchodzili do Hiszpanów nieśmiało, kładąc dłonie na wierzchu głów, na znak poddania się i pokory. Rychło, nadeszli nowi, a z nimi mąż obdarowanej kobiety, którą nieśli przodem jakby w tryumfie. Mąż jej dziękował za łaskawe obejście się z nią i za piękne i tak cenne w oczach jego dary. Wyspiarze gościnnie przyjęli przybyszów, karmili ich owocami, rybami i plackami z kassawy, śpiewali im i dla nich tańczyli. Hiszpanie zachwycali się ich hojnością z jaką wszystko co było ich własnością oddawali prosząc, aby darami nie gardzili, piękną doliną, ocienioną palmami i bananami, malowniczem rozrzuceniem chat pomiędzy gajami nad brzegiem rzeki ku wodom, której zwieszały się barwne, nęcące owoce, śpiewem ptactwa leśnego i świetnem upierzeniem mnóstwa oswojonych, rozmaitych gatunków papug.

Po drodze odkryli i zwiedzili przybrzeżną wyspę bardzo obfitującą w żółwie tak, że ją Kolumb nazwał „wyspą żółwiową“, a tak był jej pięknością i bogactwem przyrody zachwycony, że jedną z jej dolin nazwał „doliną rajską“. W porcie, który nazwał „portem pokoju“, gdzie go wiatr przeciwny zatrzymał, miał odwiedziny kacyka (król plemienia), który oznajmił, że się nazywa Gudura a okazał się otoczony wielką wspaniałością. Przyniosło go czterech ludzi w lektyce, a dwustu poddanych szło za nim. Podczas obiadu, na który Kolumb go zaprosił, jadł mało i po pańsku, resztę odsyłając swemu orszakowi.

Po obiedzie nastąpiła wymiana darów. Kacyk ofiarował Kolumbowi pas misternej roboty i dwa kawały złota. Ten zaś obdarzył go kaftanem, płaszczem, kilku kawałkami bursztynu, trzewikami z kolorowej skóry i flaszką wody z pomarańczowego kwiatu. A kiedy wieczór zapadł Gudura opuścił Kolumba w przekonaniu, że tak on

jak i jego okręty z nieba pochodzą i że wszyscy są jakimiś bogami. Odeszli jak przyszli z wielką wspaniałością. Admiralska szalupa do brzegu odwiozła ich, okręty zabrzmiały armatnią salwę, która omal popłochu i powszechnej ucieczki nie spowodowała. Uspokojony jednak kacyk, wsiadł do lektyki a za nim niesiono jego syna, za którym znów postępował brat kacyka, podtrzymywany pod ramiona przez dwóch ludzi. Przodem niesiono dary admirała w wielkim tryumfie. Ustawiwszy duży krzyż na środkowym placu wsi kacyka i rozpytawszy o kraje zkąd wyspiarze złoto dostają popłynęli dalej.

W jakiś czas, kiedy odpoczywali znowu w jednej zatoce, a wieść rozeszła się po wybrzeżu o przybyciu cudownych jakichś gości, przybiła duża łódź, pełna wyspiarzy z wodzem, który oznajmił, iż jest dworakiem potężnego kacyka, nazwiskiem Guakanagari. Złożył on bardzo wiele pięknych darów, a najkosztowniejszym, była drewniana maska, w której oczy, uszy, nos i usta były szczerozłote, potem po części na migi zapraszał, aby posłańcy niebios, raczyli przybyć do stolicy kacyka. Kolumb zgodziłby się chętnie, ale wiatr wiał przeciwny. — Nareszcie o świcie dnia 24 grudnia w sam dzień wilii, puścił się przy słabym wietrze wzdłuż wybrzeża do stolicy Gauriko. Wieczorem tak wiatr zesłabł, że okręty ledwo się ruszały. Kolumb widząc tę ciszę, zwątpił, aby dnia tego dopłynął do celu, pomimo, iż pozostawało mu nie więcej, jak parę mil. Będąc zmęczonym, powierzył pieczę nad statkiem sternikowi, a sam udał się do kajuty na spoczynek, Rozbierając się, co mu się rzadko zdarzało, bo był niezmiernie pilnym dowódcą, przechadzał się po obszernej, choć niskiej izbie, zajmującej cały tył okrętu i przypatrywał się nagromadzonym w niej przedmiotom, które wiózł do Hiszpanii, jako łupy i dowody odkrycia Nowego Świata. Nareszcie sen go zmorzył i ufny w pogodną, cichą noc, nie grożącą żadnem niebezpieczeństwem dla statku, zasnął lekkim snem żeglarza. Zaledwie Kolumb zeszedł z pokładu, kiedy sternik zmorzony ciepłem podzwrotnikowej nocy, powierzając ster niewprawnym rękom okrętowego chłopca, spać poszedł. Widząc to majtkowie wartę sprawujący, także się pospali.

Tymczasem niewidzialny, a jednak silny przybrzeżny prąd pędził statek prosto na dużą, piaszczystą ławicę. Huk rozbijających się o nią fal uprzedził o niebezpieczeństwie wprawne ucho sternika, lecz pozostał obojętnym dla niedoświadczonego chłopca. Ś-ta Marya (takie było imię statku) leciała ku zagładzie. Dopiero, gdy silne wstrząśnięnie statku, który drgnął od kila aż po szczyt masztu uczuć się dało, chłopiec trwożnie krzyknął.

Pierwszym wyskoczył na pokład Kolumb, a widząc, że okręt ugrzązł w ławie piasku i że prąd coraz bardziej go w nią pcha, nadbiegającemu sternikowi i majtkom rozkazał:

Szalupa na wodę! Żywo! Zaczepić linę na statek, zawiesić jej koniec, na brzeg ciągnąć siłą. Prędzej! Prędzej!

Rozespani ludzie ze sternikiem na czele spuścili na wodę szalupę i zamiast ratować coraz bardziej grzęznącą w ruchomych piaskach Ś-tą Maryę, popłynęli szukać pomocy do żeglującej opodal „Niny“. Dowódca okrętu oburzony niedbalstwem i brakiem przytomności umysłu sternika, przyleciał całą chyżością dwudziestu wioseł na ratunek, lecz już było za późno.

Nie pomógł rozpaczliwy środek, użyty przez Kolumba, który maszt zrąbać kazał w nadziei, iż ulżywszy w ten sposób okrętowi, nie da tak szybko grzęznąć. Wszystkie wysiłki daremne były, korpus okrętu, przy uderzaniu o ławice piasku, pękł w kilku miejscach i woda do wnętrza wpadała. Fala bijąca się o ławicę wzburzona była i wstrząsała statkiem już i tak zużytym przez długą podróż, aż nareszcie „Ś-ta Marya“ syta sławy i trudów kłoniła się do grobu, który znalazła u brzegów świata odkrytego za jej pomocą chwiała się jakiś czas, a potem na bok legła. Kolumb i cała załoga schronili się na „Ninę“ szczęśliwi, że pogoda pozwoliła im życie uratować, bo gdyby morze wzburzone było, mogli wszyscy zginąć wśród prądów i podwodnych skał. Admirał wezwał dwóch ze starszyzny i rzekł do nich:

Proszę was, abyście się udali do kacyka Guakanegarego i powiedzieli o zamiarze odwiedzenia go w jego stolicy i o nieszczęściu, jakie nas spotkało, którego on nawet zrozumieć nie potrafi, bo czyż może domyślić się, jak nam bardzo zależy na tem, żeby świat dowiedział się o tem, co zdziałaliśmy. I patrzył w stronę szarpanego przez fale okrętu, tego domu swego, w którym tyle razy przechodził od zwątwienia do nadziei, patrzył tęsknym wzrokiem na te deski, które fale odrywały i unosiły, dla niego one ożywiały, nie były to martwe drewna, lecz towarzysze sławy, one go zaniosły do celu marzeń całego życia.

Tak westchnął ciężko odpowiadając myślom swoim. Sława, pamięć o nas w potomności wieków, wszystko to spoczywa tylko na tym lekkim, nadpróchniałym okręciku. „Ninie“ bo i „Pinta“ (trzeci statek) gdzieś się zabłąkała na morzu i może już nie istnieje. I trwoga ogromna zmroziła serce wielkiego człowieka, czy zdoła na nim wrócić, z całym skarbem odkryć napowrót do Hiszpanii? Czy się świat dowie kiedy o wszystkiem?

* * *

Księżyc w ostatniej kwadrze zaledwie wschodził nad ranem, z za postrzępionych skalistych szczytów, kiedy cała flota łodzi, wyżłobionych w pniach zaroiła się wokoło ginącej u S-ta Maryi, a wkrótce potem nadpłynęła ogromna rzeźbiona i malowana łódź, a w niej oświecony chwiejnemi płomieniami pochodni o pachnącym żywicą dymie, stał nagi z zarzuconym tylko na ramiona lekkim płaszczem pasiastym, kacyk, Guakanagari. Na długich, czarnych włosach, z tyłu na ramiona spadających, lśniła się i migotała złota obrączka w kształcie korony, wsparty był na lekkiej włóczni trzcinowej, zakończonej u góry ością ryby. Twarz jego łagodna o rysach prawidłowych, a ujmujących wyrazem dobroci i powagi nosiła w tej chwili piętno smutku zmieszanego z trwogą, a kiedy wstąpił na pochyły, już częściowo wodą zalany pokład S-ta Maryi przybrała ona wyraz zdumienia, zachwytu, połączonego z lękiem. I nie dziw, tak mu tu wszystko musiało wydać się obcem, pięknem, potężnem, a dziwnem, tak cudnem, jakby z innego jakiego świata pochodziło.

Przypatrując się tym przedmiotom nieznanym, do nieznanego użytku służącym, zapomniał o celu swojego przybycia, lecz widok krzątających się około ratunku ruchomości okrętowych i mienia załogi Hiszpanów przypomniał mu o nim. Wydał rozkazy dźwięcznym, donośnym głosen, słuchanym przez podwładnych w pełnej szacunku ciszy i zaraz roje wyspiarzy w milczeniu, porządnie i sprawnie poczęły wyładowywać statek, przenosząc wszystko, co ruchome było do licznych swych łodzi, gdzie urzędnicy jego pilnowali, aby nic nie zginęło.

Na twarzy Kolumba, gdy się temu przypatrywał, tyle boleści się malowało, iż Guanakagari, który od chwili wejścia na statek oczu z niego nie spuszczał, odczuł w tym widoku ból ludzki i wielkość — jakąś nieznaną dla niego wielkość. Zbliżył się do Kolumba, schylił głęboko, położył dłoń na głowie i w mowie swojej, mówił do niego słowa pociechy, których ów nie rozumiał, nareszcie zdjął z głowy koronę i nagłym jakimś serdecznym ruchem, trzymając ją w rękach, podał mu. Kolumb rozrzewniony objął w ramiona kacyka i przycisnąwszy do piersi, szepnął:

— Bracie, tyś dziki, tyś ciemny, lecz ludzkie serce w piersi twej bije — piękna dusza twoja. Odtąd zawiązała się przyjaźń serdeczna między tym dzikim wyspiarzem o pięknej duszy a jednym z większych synów cywilizacyi europejskiej — zadzierzgnęła się jakowaś nić pokrewieństwa duchowego.

Kolumb zamieszkał potem w domu kacyka, który czynił, co mógł, aby spędzić z czoła uwielbianego przyjaciela chmury smutku i trwogi, jakiemi je pokryły: rozbicie S-ta Maryi i zaginięcie Pinzona z Piutą. Kiedy się dowiedział, iż Kolumb poszukuje złota, obiecał mu dostarczyć go tyle, ile tylko zechce, w samej rzeczy, sporą ilość tego kruszcu znosić zaczęto.

Razu jednego, kiedy się przechadzał z Kolumbem po cienistym gaju, który wyglądał jak wspaniały sad, rosnący na kwiecistej łące, nad rzeką o wodach tak czystych, że z łatwością na jej dnie dostrzedz było można malutkie blaszki złota, unoszone razem z piaskiem w bystrym prądzie, rzekł mu:

— Przyjacielu przez niebo zesłany, dlaczego zamyślasz mnie opuścić? Czy ci źle z nami? Czy braknie ci czego? Powiedz, a jeśli będzie w mojej mocy, wszystko zrobię, aby ci życie uprzyjemnić i zatrzymać przy sobie na zawsze. Rozkaż, dam ludzi, ilu zechcesz, zniosą, spławią najpiękniejsze drzewa, a twoi słudzy, co z tobą przybyli, swojemi narzędziami zbudują ci dom, jaki każesz, taki dom, jaki posiadałeś w swoim kraju, który leży tam, daleko, za przezroczystem niebem... A może ci się cni bez kobiety? Przyjacielu... wybierz sobie dziesięć, a nawet dwa i trzy razy po dziesięć najpiękniejszych dziewcząt, bo ty królem jesteś między nami. Najwyższy zaszczyt to i szczęście dla nich będzie zostać żonami twojemi.

Uśmiechnął się Kolumb na te dowody serdeczności swego dzikiego brata. Zamyślał on już o powrotnej podróży do Hiszpanii, bo wszakżeż tam, o odkryciach jego i o tem wszystkiem, co przebyli, nikt jeszcze nie

wiedział, a zapewne wszyscy już ich mieli za umarłych. Troską tylko bezustanną było dla niego, jak na najwątlejszym statku, jaki mu z trzech pozostał, płynąć z powrotem? Jak zmieścić załogę ze „S-ta Maryi“ i wszystkie skarby, które wiezie ze sobą na pokazanie z „Nowego Świata“, aby uwierzono słowom jego. „Nina“, myślał, to wątła łupina. pokładu nawet niema, o deskach nadpruchniałych. Żali sprosta ona strasznemu, ciągle wzburzonemu teraz morzu?... Powrotna ta żegluga, wymagała jeszcze stokroć większej odwagi i niepospolitego rozumu. Żeglarze byli narażeni na stokroć większe niebezpieczeństwa, aniżeli te, które dopiero co przebyli. Co począć?... Jak postąpić?... Biedziła się dusza wielkiego męża, a ubóstwiający go Guakanagari szeptał i kusił w swojej wdzięcznej rodzinnej mowie.

— Zostań z nami... Bądź królem naszej czarodziejskiej wyspy... Wszyscy będziemy niewolniknmi twymi... Pojmij najpiękniejsze kobiety za żony i synom twoim zostaw panowanie po sobie... O uwielbiony!... Wyższa istoto!...

— A nieśmiertelność?... Sława?... Wdzięcznoś u potomnych?... — pytał siebie Kolumb...

Niebawem niektóre trudności zostały usunięte same przez się.

Załoga okrętowa prowadziła na wyspie gościnnego kacyka iście rajski żywot. Pracy żadnej nie znali, krajowcy oddawali im wszystko, czegobądź tylko zapragnęli. Upalne godziny tych dni szczęśliwych schodziły im na rozkosznym wypoczynku, w kołyszących się hamakach, zawieszonych w cieniu pachnących gajów, gdzie wystarczało wyciągnąć rękę. aby zerwać który z tych soczystych owoców, obciążających gałęzie, razem z pączkami, kwiatami i zawiązkami tych, co miały nieco później dojrzeć. Wieczory do późnej nocy rozbrzmiewały dźwiękami bębenków drewnianych, wydrążonych deszczółek, w które piękne dziewczęta tańcząc, dzwoniły, śpiewem i szczebiotem ptasząt, które dawniej były rybakami, a których słońce w ptaki zmieniło.[1])

Pewnego dnia Kolumb zastawszy swych ludzi na tak wesołej zabawie, począł im mówić o trudach żeglugi, która ich niedługo czeka. Porozumieli się ze sobą wzrokiem żeglarze, a jeden z nich dostojny szlachcic hiszpański, któremu nie bardzo się chciało tego kraju porzucać, przemówił:

— Admirale, zabierz niezbędnych tylko w podróż ze sobą, a my zostaniemy tu, czekając aż nam przyślesz okręty. Będziemy tymczasem badać wyspę i zanim wrócisz, z pewnością odkryjemy kopalnie złota, którego król nasz tak potrzebuje, a kto wie, może go tyle zdobędziemy, iż wykupić będzie można grób Zbawiciela w Jerozolimie z rąk Turków, jak tego pragnie zawsze nasza dobra, pobożna królowa Izabella.

Podobała się niezmiernie taka mowa Kolumbowi, gdyż sam był gorliwym chrześcijaninem i wielu potężnych królów marzyło naówczas o wyzwoleniu grobu Chrystusowego.

Odezwał się więc uradowany:

Nie śmiałem sam żądać tego od was. Opuszczeni w pośród dzikich... zdala od ojczyzny, bez okrętów, którymi w razie niebezpieczeństwa moglibyście się ratować — wszystko to wstrzymywało mnie od wypowiedzenia moich myśli, ale kiedy sami tego żądacie, rad jestem. Zbudować nam tylko potrzeba małą twierdzę na wybrzeżu, gdziebyście mieszkać mogli, i w razie jakiego wypadku schronić się tam. Wprawdzie mieszkańcy Haiti są naszymi przyjaciółmi, ale inne plemiona ludożerczych Karaibów, z któremi prowadzą nieustanne boje, mogłyby im i wam zagrażać — a także przyjaźń z dzikimi nie wiemy jak jest trwałą — lepiej mieć się na ostrożności.

Poczem Kolumb wydał niezwłocznie rozkaz do rozpoczęcia budowy fortu na wybrzeżu Haiti. Pomagali im w tem chętnie krajowcy. Po upływie paru tygodni stanęła spora wieża drewniana, wsparta na kamiennem podmurowaniu, a na jej szczycie powiewała królewska chorągiew. Otoczono ją szerokim i głębokim rowem. w który wodę z rzeki wpuszczono, a gdy ustawiono armaty w strzelnicach. pierwszy ten gród na nowej ziemi wzniesiony, wyglądał pokaźnie a nawet groźnie:

W dniu kiedy Kolumb, w braku kapłana. sam pokropił święconą wodą nowe ściany fortu, a Hiszpanie nabożnemi śpiewami wtórowali uroczystemu obrzędowi. Guakanagari wyprawił wielką ucztę. Tysiące wyspiarzy zebrało się na nią. Gaje zapłonęły tysiącami ognisk. Łąki rozbrzmiewały śpiewami i śmiechem, ściany wysokich i gęstych puszcz podzwrotnikowych, o liściach szerokich i pniach olbrzymich odbijały te odgłosy wesela.

(C. d. n.)

[1]) Lud wierzył, że słońce posiada czary i może zamieniać ludzi w ptaki.